

JAKUB KORNHAUSER

Lotne finisze

SKARBY POWIATU CHOJNICKIEGO
Z ROWEROWEJ PERSPEKTYWY

mikrooptyczna
ówże



Unia Europejska



Krajowa Sieć
Obszarów Wiejskich



Program
Rozwoju
Obszarów
Wiejskich
na lata 2014-2020

„Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich: Europa inwestująca w obszary wiejskie”. Instytucja Zarządzająca Programem Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2014-2020 – Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi. Publikacja opracowana dla Starostwa Powiatowego w Chojnicach. Operacja współfinansowana ze środków Unii Europejskiej w ramach Schematu II Pomocy Technicznej „Krajowa Sieć Obszarów Wiejskich” Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2014-2020”.

Lotne finisze

JAKUB KORNHAUSER

Lotne finisze

SKARBY POWIATU CHOJNICKIEGO
Z ROWEROWEJ PERSPEKTYWY

mikrooficyna
ówże

0. Prolog

Każdy porządny wyścig kolarski zaczyna się krótkim prologiem. Uczestnicy zapoznają się ze specyfiką lokalnych tras, sprawdzają swoją formę i regulują ostatnie trybiki w rowerach. Mają także okazję przedstawić się publiczności, która już na starcie nie pogardziłaby dreszczykiem emocji. Przypomina to trochę rozgrzewkę przed właściwymi zawodami, przy czym wyniki prologu wliczają się już do ogólnej klasyfikacji, więc pod żadnym pozorem nie wolno go pominąć. Wyobraźcie sobie zatem, że niniejsza książka jest takim wyścigiem. Kolejne rozdziały to następujące po sobie etapy, które łączą się w sieć różnorodnych tras: są bardziej lub mniej wymagające, prowadzą zarówno znakowanymi szlakami, jak i bezdrożami, oferują możliwość powłóczenia się po rubieżach, lecz nie zapominają też o głównych atrakcjach regionu.

Gdzie jeden etap się kończy, tam drugi zaczyna – startując w Chocińskim Młynie, dotrzecie do mety w Chojnicach, odwiedzisz po drodze prawdziwe skarby powiatu chojnickiego: dzikie ostępy w Borach Tucholskich, nadrzeczne łąki i rozległe jeziora, stare kaszubskie wsie i śródleśne osady, wreszcie zabytki architektury i pamiątki związane z lokalną historią i tradycjami. Na trasie każdego etapu wyznaczono linie lotnych finiszów, a więc premii, które podczas wyścigów kolarskich usytuowane są zwykle w miejscach ważnych, niebanalnych lub ładnych krajobrazowo. Niektóre z nich znajdziecie tam, gdzie się ich wcale nie spodziewaliście, bowiem najdroższe są skarby, które w codziennej gonitwie moglibyście całkiem przeoczyć. Planowaniu poszczególnych tras przyświeca tutaj idea, że w każdym, najdrobniejszym nawet

skrawku przestrzeni tkwi coś, co jest warte chwili uwagi i zapamiętania. Dlatego warto skupiać się nie tylko na skarbach, które nęcą swoją spektakularnością, lecz i na tych, co nieco skromniejsze i zaobserwować je trudniej.

Rower okazuje się takiej niespiesznej obserwacji sprzymierzeńcem. Niezależnie od tego, czy dysponujecie rowerem górskim czy szosowym, trekkingowym czy gravelem, elektrykiem o grubych oponach czy starym składakiem – znajdziecie na terenach powiatu chojnickiego coś dla siebie. Owszem, wiecie dobrze, że skłamałby ten, kto nigdy nie widział na lokalnych drogach piaszczystych wydm ani pokruszonych kamieni. Nie ma się co czarować, że będzie tylko lekko i łatwo. Przyjemnie będzie, nawet bardzo, ale nie dlatego, że wszystko idzie jak po maśle – taka przyjemność jest stanowczo zbyt krótkotrwała – lecz z uwagi na wszechstronność doznań podczas jazdy. Zmęczeni podjazdami wypoczniemy w trakcie długich fragmentów po płaskim, sektory po piachach przeplatać się będą z zadbanymi asfaltówkami, a otwarta przestrzeń nierzadko ustąpi miejsca gęstemu borowi. Gdzieś tam okaże się, że możemy nieco nadłożyć drogi, by nie pchać się szlakiem, który nam nie odpowiada, albo na odwrót: zmienić trasę, bo akurat zachciało nam się zmęczyć w trudniejszym terenie. Wszystko na prawie dwustu kilometrach wytyczonych tras.

Mapa powiatu chojnickiego podsuwa nam same dobre rozwiązania, w końcu to właśnie tu spotykają się obszary Parku Narodowego „Bory Tucholskie” oraz dwóch parków krajobrazowych – Zaborskiego w północnej części powiatu i Tucholskiego w południowej. Władze samorządowe, które mają w swojej pieczy takie naturalne perły, nie muszą martwić się o to, jak zachęcić turystów do przyjazdu w te strony. A mimo to kolejne inwestycje stawiają na zwrot w stronę turystyki aktywnej; nie żeby wcześniej aktywność nie była tu w cenie. O ile jednak kiedyś na Brdzie, Wdzie, Zbrzycy i Chocinie dominowali kajakarze, a żeglarzy było

w bród na okolicznych jeziorach, o tyle dziś przeważają roweryści, którzy mając do dyspozycji cały teren powiatu, nie muszą ograniczać swoich zainteresowań do wód. W dużej mierze stało się tak dzięki Kaszubskiej Marszrucie – systemowi szlaków rowerowych łączących strategiczne punkty na mapie, a więc siedziby gmin (Chojnice, Czersk, Brusy i Konarzyny), znane kurorty, jak Charzykowy, Swornegacie czy Męcikał, a także najwarteściowsze pod wieloma względami atrakcje, w tym atrakcje o ściśle rowerowym nachyleniu.

Trasy istniejącej od dekady Kaszubskiej Marszruty w dużej mierze wiodą specjalnie wyznaczonymi i zbudowanymi ścieżkami, często w terenie leśnym, wzdłuż ważnych ciągów komunikacyjnych, lecz bez kolizji z ruchem samochodowym. Te fragmenty są zasadniczo łatwiej dostępne dla rowerzystów, co nie musi oznaczać, że łatwiejsze. Nie brak tu ostrych podjazdów i zakrętów, wąskich przepustów i zmiennej nawierzchni. Dzięki Marszrucie z Chojnic można wygodnie wyjechać i równie wygodnie tu wjechać, co warto podkreślić, bo skarby skarbami, ale wszystko zaczyna się od najprostszej logistyki. Pozostałe trasy przypominają tradycyjne ścieżki rowerowe, w większości poprowadzono je albo duktami leśnymi, albo drogami publicznymi o nikłym natężeniu ruchu. Szlakami Kaszubskiej Marszruty można by jeździć i jeździć, choć równie dobrze warto zbroczyć w bezdroże i na własną rękę posnuć się po okolicy. Takie rowerowe wałęsanie bez celu z pewnością przyniesie wam tyle samo satysfakcji, ile czerpicie z pokonywania oficjalnie wymyślonych i oznakowanych tras. Tym cenniejsza to uwaga, że w realiach borowiacko-kaszubskich nie dziwi całe mnóstwo urokliwych zakamarków, strug i jezior pośrodku lasu, maleńkich przysiółków liczących ledwie kilka domostw, odległych od cywilizacji pól i łąk, do których dostać się nie jest wcale łatwo. Dlatego trasy kolejnych etapów-rozdziłów nie tylko dają wam możliwość pionierskich działań na niwie kolarskiej, lecz również powinny was zachęcić do wkręcenia się

w mikropodróżowanie, zwiedzanie okolic bliższych i najbliższych. Krążąc rowerem między Nicponiami na południu, Wolnością i Babilonem na zachodzie, Zimną Kawą na północy i Złym Mięsem na wschodzie powiatu, zanurzacie się w lokalności głębiej, niż czyni się to przez okno samochodu czy pociągu, działając przy tym w trybie ekologicznym, ku chwale biotopu i na korzyść dobrostanu własnego organizmu, co nie mniej istotne.

Zresztą zespolenie tego, co rozpoczyna przedrostek eko-, z tym, co niesie prefiks etno- nie jest jedynie czczą zabawą; dzięki głośnie otwartej na obserwacje, dowiedziecie się na przykład, skąd pochodzą dziwne i śmieszne nazwy miejscowości. Choćby Swornegacie – to przecież nie dopasowane portki, tylko albo zwarte groble – gać oznaczałaby tu pomost z faszyny, pęków gałęzi i słomy – albo zrost dwóch kaszubskich słów: swory, czyli warkocza plecionego z korzeni sosny i gacenia, czyli umacniania brzegów jezior i rzek przy użyciu swory właśnie.

Przemierzając kolejne miejscowości, często możecie się zetknąć z podwójnymi nazwami widniejącymi na tablicach – polskimi i kaszubskimi. Śladów obecności południowych Kaszubów, a więc Zaboraków lub Krebanów, jest tu jednak znacznie więcej, poczynając od zachowanych w wielu miejscach tradycyjnych drewnianych chat, czyli chęczy, a kończąc na strojach ludowych i obyczajach. Zresztą powiat chojnicki jest przestrzenią, na której z tradycjami zaborskimi ścierają się wpływy borowiackie, widać to zresztą w zmieniających się cechach krajobrazu, płynnie przechodzącego ze zwartych kompleksów leśnych w rzeczne doliny, rozlewające się w systemy jezior i nadbrzeżnych łąk. Do tej zmienności świetnie przystosowały się zwierzęta, szczególnie ptaki wodne, takie jak żurawie.

Podczas rowerowych wypraw nietrudno natknąć się na żurawie spacerujące po lesie, żerujące na podmokłych łąkach lub lecące w kluczu wysoko na niebie. A także trąbiące zza drzew – każdy, kto usłyszy taką ścieżkę dźwiękową podczas przejażdżki

nad jeziorem lub w leśnych ostępach, nie będzie już chciał słu-
chać niczego innego. No chyba że w ucho wpadnie wam jakaś
znajoma nuta, która wesprze was w trudzie pedałowania na ko-
lejnych etapach, ale o tym już w kolejnym odcinku.

Sami przyznacie, że powodów, dla których warto odwiedzić
powiat chojnicki, jest aż nadto. A rower da wam nie tylko wol-
ność poruszania się po całym obszarze, lecz i frajdę z ciągłego
bycia w ruchu. Czujcie się zachęceni do podjęcia rękawicy, za-
głębiajcie się w teksty i trasy, niech rowerowy bóg Fausto Coppi
opiekuje się wami na każdym kilometrze. Jako że prolog powi-
nien być nie tylko krótki, ale i dynamiczny, bo trzeba zostawić
sobie co nieco sił na właściwą część wyprawy, można podsumo-
wać go kolarskimi życzeniami: Wybornej nogi!

1. Piachy po pachy. Chociński Młyn – Zielona Chocina – Konarzyny – Chociński Młyn

„Take me home, country roads, to the place I belong” – śpiewa w słynnej piosence John Denver, zachwalając góry, lasy, błękitne wody, każdy najdrobniejszy kamyk na ścieżce i najdalsze choćby wspomnienie ojczystych stron. Powiecie, gdzie West Virginia, a gdzie Bory Tucholskie? Gdzie Kaszuby? A jednak łatwo da się zrozumieć tę tęsknotę, zwłaszcza gdy przejedziecie się czarną pętlą Kaszubskiej Marszruty: to właśnie drogi okazują się cennym skarbem tujejszych stron. Niby każdy z was słyszał o kaszubskich piachach,



niby co poniektóry miał przywilej zakopania się po szyję w wydmach na środku jezdni, ale przyznajcie, zawsze to fajnie wybrać się rowerem na zwykłą przejażdżkę, która wtem okaże się mrozącą krew w żyłach eskapadą i nasyci was adrenaliną aż pod korek.

Tutaj przyda wam się samozaparcie rajdowca, co to z niejednego pieca chleb jadł, przy czym za piec uchodzi tu mocno zróżnicowana nawierzchnia; to eufemistyczne określenie skrywa plażowe atrakcje, w jakie zamienia się pedałowanie. Tymczasem tu o plażowaniu mowy być nie może: zamiast beczynnie wylegiwać się na poboczu, musicie stawać w korbach prawie że na baczność i tłoczyć kroczek za kroczkiem. Pal licho, jeśli opony macie grube jak kielbaski, a bieżnik chropowaty bardziej od ropuszej skóry. Co mają jednak począć ci, którzy są wierni szosówkom z chucherkowatymi oponkami niczym kartka papieru? Opuścić? Gdzie tam, pruć raz-dwa piaszczystymi żłebami, nie



zważać na przeciwności losu i lasu – bo lasów ci przy czarnej pętli dostatek, i to takich, co to zapraszają do skoku w bok; w końcu nie ma co się trzymać jednej drogi, choćby piachy wciągały was i wypuścić nie chciały.

Czarną pętlę najlepiej zacząć w Chocińskim Młynie, który zalet ma tyle, co gwiazd na niebie – rozgościł się w samym środku rowerowych atrakcji, między Swornegaciami i Małymi Swornegaciami, wśród jezior, żurawi, urokliwie meandrującej Chociny, a do tego posiada wszystko, co tradycyjna, osiemnastowieczna kaszubska osada posiadać powinna; można dostać się tu z Chojnic i Charzyków wygodnymi traktami Kaszubskiej Marszruty, a także, z podobną elegancją – odcinkiem z Brus, Drzewicza i Swornegaci. O tak centralnie umiejscowionych punktach mówi się: zworniki. Bo łączą wszystkie ważne drogi, no i w którąkolwiek stronę by się ruszyć, zawsze czeka przygoda nie lada. Zresztą kiedy się już tu dojechało, to właściwie można by zostać, odpocząć i zająć się zwiedzaniem. Czeka na was relikw starożytnego drewnianego młyna, zabytkowe kaszubskie chaty nasuwające przyjemne skojarzenia z domkami Muminków, piękne okoliczności przyrody, no i jeszcze jedna atrakcja. Otóż powinniście się koniecznie zapoznać z ofertą Centrum Edukacji Przyrodniczej Parku Narodowego „Bory Tucholskie”. Uf, nazwa długa, ale ze wszech miar godna zapamiętania. W Centrum Edukacji bowiem dowiedziecie się o tych okolicach wszystkiego, co zawsze chcieliście wiedzieć, ale baliście się zapytać. I to w realiach dziewiętnastowiecznego, obecnie schludnie odnowionego, dworku i szeregu zabudowań podworskich. Pytajcie, oglądajcie, a kiedy główki wypełnią wam się wiedzą, a bidony świeżą wodą – ruszajcie w trasę.

Początkowo trasa wiedzie leśnymi bezdrożami; raz po raz rzucacie tęskne spojrzenia między sosny, a nuż wyhaczycie jakiegoś prawdziwka, może kanię, podgrzybka chociaż. A może traficie i rodzinę skrzatów, bo przecież, jak pisał wieszcz Herbert, „krasnołudki rosną w lesie”. Może rosną, może nie, w każdym

razie jazda całkiem jest miła – trzymacie się brzegów Chociny jak maminego fartuszka i za nic puszczać nie chcecie. Mijacie leśne polany w okolicach Zielonej Huty, by wpaść w sam środek malowniczego skupiska trzech osad: najpierw Niepszczoląg, potem, za mostem na Chocinie, Dzięgiel, gdzie czeka na was czarna kotka, która akurat wraca z patrolu w kukurydzy i teraz domaga się uwagi, zaś na końcu, za minijeziorkiem Pieczonko, rozsiadły się Jonki. Możecie też podłączyć się w tym miejscu, jadąc ze Swornegaci traktem na Wielkie Zanie, najpierw pod wydmową górkę, potem hulaj dusza w piaszczystych wąwozach, nieopodal śródleśnej kapliczki, i już skrajem rozległych pól. Miejsce piękne, co tu dużo gadać, parę obejść ledwie, piachy, wiadomo, głębokie po pas, ale i dzięcioł zielony chichocze czarcio, i czapla rozgląda się przy oczku wodnym, żebyśmy tylko nie próbowali zasadzić się na jej rybkę. Dobra rybka nie jest zła, dobrze wiecie, ale teraz nie ma co się roztkliwiać, bo czeka na was atrakcyjny fragment nad jeziorami Zielonymi: Małym i Wielkim.

Na pierwszy ogień idzie Zielone Małe, ukryte w lesie, ale rower daje radę przejechać wąziutką ścieżką wprost na brzeg, gdzie przycumowały łódeczki niewielkie niczym dla lalek, tak jakby czekały na jakąś wodolubną Barbie; choć Ken to by się chyba już do środka nie zmieścił. Niewiele dalej – Zielone Wielkie, droga wprowadza was nieomal na samą plażę. Zewsząd dochodzi klan-gor żurawi, cała paka kilkudziesięciu osobników kołuje sobie bez-trosko na niebie, zupełnie jakby ich nie dotyczyły problemy tego świata, jakby się nie musiały martwić ani rekordową inflacją, ani zarobkami w budżetówce, ani kolejkami w przychodniach. Żurawie żurawiami, ale warto się zatrzymać na chwilę i podelektować ciszą – droga w sosnowym lesie wiedzie nadjeziorną skarpą, słońce prześwieca między gałęziami, mkniecie raz w dół, raz pod górę, pustki na trasie, no i kwintale piachu na horyzoncie. Nad jeziorem Zielonym Wielkim znajdziecie też oficjalne punkty biwakowe, gdzie można nabrać sił przed kolejną wspinaczką, niewielką



wprawdzie i ostatnią już w sektorze piaskowym. Po chwili młynkowania na najłżejszym przełożeniu meldujecie się w Zielonej Chocinie, maleńkiej wiosce położonej tuż przy drodze krajowej łączącej Chojnice z Bytowem. Prowadzą was do niej rozemocjonowane kury, którym znudziło się najwyraźniej *dolce far niente* i zechciały urządzić sobie popołudniowe wyścigi.

Po przekroczeniu szosy i wysypaniu piasku z butów, spodełek, bidonu i uszu, okoliczności zmieniają się diametralnie. Zamiast piaszczystych wąwozów – asfaltowa, gładka jak pupa niemowlęcia jezdnia, zamiast gęstych lasów – rozciągające się na północ i południe łąki, zamiast pagórów i skarp – płaskość turбота. Teraz szosowcom w to graj, nadrabiają stracony czas, choć, jak wiemy z literatury, tak całkiem nadrobić go nie można. Jezdnia gładziutka, to fakt, lecz wąska, co niby przyjazne rowerzyscie, bo urokliwej, a jednak rodzi pewne komplikacje, gdy znienacka chce was wyprzedzić wielki jak na te warunki autokar w stylu



pekaesu, zatrzymujący się to na przystankach, to pośrodku łąk – słowem, gdzie dusza zapagnie. I dobrze, bo ruch właściwie żaden, w tej pustocie mijacie sobie Nierostowo, za którym nic, tylko jezioro, wiadomo, Nierostowskie, a za jeziorem to już granica powiatu niczym koniec świata. Granica zresztą przybliży się do was z każdym metrem, przed nią, jak przed czasem, uciec niepodobna.

Więc, kiedyście już przekroczyli Chocinę w Bindudze, zwalnianie, ba, stajecie na dłuższą chwilę. Dolinę Chociny macie jak na dłoni, zupełnie jak tę seledynową ważkę, która uniosła się na moment znad rzeki. I nagle wydaje wam się, że łąki, że pałki wodne, że łaciate krowy, a nawet sam zimorodek, co przeleciał wam przed nosem jak wielokolorowa torpedka, że całe to towarzystwo florystyczno-faunistyczne jest równie bezkresne jak siła waszych mięśni, nie mówiąc o wytrzymałości karbonowych ram, sztyc i widelców. Bindudze to nie przeszkadza. Jak nazwa osady wskazuje, składowano i spławiano tu drewno, choć dziś meandrująca wśród wodnej roślinności Chocina nie sprawia wrażenia szczególnie chętnej do spływów, zwłaszcza w skali hurtowej. Jednak nie zapominajcie, że na końcu świata to bywa różnie. Za Bindugą wąska asfaltówka wkręca się w las, tak samo kameralny i cichy jak cała okolica. Las po paru chwilach spokojnej jazdy jednak się kończy, zaczyna się Kiełpin, przyjaźnie rozłokowany na brzegach Jeziora – a to ci niespodzianka! – Kiełpińskiego; o, to już nie byle osada, lecz wieś pełną gębą, z polami biwakowymi, wiatami postojowymi, plażyczkami dla spragnionych kąpeli, idealna miejscówka na bramę lotnego finiszu; nic, tylko wskoczyć w toń i pościgać się z łabędziami.

Kąpielówki już suche? No to lu, brzegiem jeziora i brzegiem powiatu zarazem, tocząc się niespiesznie przez Nową Karczmę, docieracie do Żychców, co się szczycą swoim prywatnym herosem, a właściwie Herosem: Heros von Borcke, pruski oficer kawalerii, który służył w Skonfederowanej Armii Północnej Wirginii podczas wojny secesyjnej, po wyjeździe ze Stanów i epizodzie w wojnie

prusko-austriackiej, osiadł na emeryturze właśnie tu, w zakupionym w 1867 roku dworze, zanim dał dyla jeszcze głębiej w pruskie ostępy. A więc jednak West Virginia, „where I belong”! Po dworze ostała się historia, resztką parku, który w czasach minionych był częścią PGR-u, no i trochę okolicznych zabudowań. Plus Jezioro Żychckie – bo przecież inaczej być nie może – z gustowną ławeczką na molo, gdzie przycupnęły sobie kaczki i łyski. Droga prowadzi następnie rzez Żychckie Osady – to piękna aleja wysadzana lipami, jedzie wam się jak ta lala, nie wiem jak Heros, ale wy czujecie jedno: gdzieś tam po prawej ręce czają się te wszystkie powiatowe końce, i nawet wyobrażacie sobie, że hen, daleko za łąką, rozwiera paszczę olbrzymi smok albo spływa z hukiem gigantyczny wodospad, no bo jeśli koniec, to koniec, nie ma to tamto, jeńców, jak mawiają w Wirginiach, Karolinach i innych stanach, się tu nie bierze. Ale od razu przychodzi wam na myśl, że można by chyba jeszcze trochę pojeździć, nie trzeba od razu wpadać w tony cokolwiek ostateczne, wsłuchiwać się w żałosne pojękiwanie chorów łańcuchowo-zębatkowych, wizualizować sobie rozkosznych popasów wśród drineczków z palemkami. Koniec powiatu to jedno, koniec rowerowego etapu drugie – i nieco dalsze, fakt bezsporny.

Ale, my tu gadu-gadu, a lipowa aleja wprowadza nas do Konarzyn, które dumnie sprawują funkcję lokalnego centrum. Siedziba gminy jak się patrzy, o wielowiekowych tradycjach, ładnie zachowanej architekturze, no i ze spokojnym rynekciem, wokół którego ulokowały się najciekawsze zabytki. Trudno orzec, czy Krzyżacy, którzy urzędowali tu w XIII wieku, by zaledwie chwilę później odstąpić osadę rodowi Konarskich, mogli się rozkoszować cieniem rosnącego przy kościele dębu, ale pewnie tak, skoro pomnikowe drzewo ma grubo ponad siedemset lat i ani myśli przechodzić na emeryturę. Choć racja, kiedyś było ledwie chucherkiem, dąbczakiem niewyróżniającym się na tle kolegów, teraz to prawdziwa eminencja Konarzyn; nie sposób go nie

zauważyć, a jeśli już się zauważyło, warto zamienić z nim słówko. A nawet gdy wam nic nie opowie, bo głuchy jak pień, to z chęcią zastąpią go gospodarze Izby Regionalnej, która mieści się naprzeciwko, w pięknie utrzymanej kaszubskiej chłeczy z drugiej połowy XIX wieku. Wehikuł czasu zabiera was ponad sto lat wstecz, możecie zobaczyć wyposażenie wnętrza, drewniane naczynia i dziwne przedmioty, których przeznaczenie zdaje się co najmniej magiczne. Natomiast gdy tylko wyjdziecie do ogrodu, to lepiej uważajcie, bo labirynt bujnej roślinności najchętniej nie wypuściłby was przez długie tygodnie. A tu trzeba jeszcze zajrzeć do kościoła parafialnego pod wezwaniem Świętych Apostołów Piotra i Pawła, zbudowanego w połowie XVIII wieku na miejscu starej, czternastowiecznej świątyni i teraz bielejącego subtelnie wśród rozłożystych konarów; w środku przyjemny chłód barokowych zdobień – idealnie skrojony pod potrzeby uprażonego na patelni rowerzysty. Cóż,



jak u Denvera: „Life is old there, older than the trees”, choć Jego Wysokość Dąb mógłby zaprotestować.

Do sklepu w rynku niespiesznie wchodzi mieszkańcy, równie niespiesznie wychodzą obciążeni torbami, nucąc sobie któryś z przebojów, jakie zwykle się nuci w podobnych okolicznościach, gdy słońce już nisko, a nadal smaży jak frytkownica, gdy beztrioskie popołudnie przeradza się w jeszcze bardziej beztrioski wieczór, gdy zostało jeszcze parę kilometrów jazdy, a kto wie, czy nie więcej, ale w sumie nikomu to nie przeszkadza. Możecie nawet pomyśleć, że ta nucona przyśpiewka to jakiś swojski cover *Country roads*, dlaczego nie, w końcu ścieżek tu co niemiara, każda dokądś prowadzi, choć na pierwszy rzut oka trudno im zaufać, bo wciąż te piachy, bo z piachów sterczące kamolce, bo korzenie grube co najmniej jak portfele członków rad nadzorczych tych czy



innych spółek, bo i niepokojące rozdroża wysyłające piaszczyste macki w każdym kierunku. No tak, spodziewacie się najgorszego, a tu proszę, zaskoczono. Trasa prowadzi teraz wygodnie wzdłuż głównej szosy, rozpieracie się niczym basza i na luzaku podziwiacie dookolne atrakcje; najpierw mijacie budynek szkoły ze świetnym murałem autorstwa ziomków z kolektywu Basgrow, stylizowanym na starą mapę Konarzyn i okolic, następnie wolniutko suniecie przez Konarzynki, gdzie zerkacie na zespół folwarczny z dworem z połowy XVIII wieku oraz deserek w postaci dożynkowych ludzików zbudowanych z bel siana.

Ta część Kaszubskiej Marszruty daje wam możliwość rozjeżdżenia poobijanych mięśni i zaleczenia ran po drałowaniu wśród wydm. Jedzie się leciutko, z nóżki na nóżkę, przecinając po raz kolejny szosę Chojnice-Bytów i kierując się lekkimi podjazdami na Chociński Młyn – droga to wznosi się, to opada – cały czas lasem, równoległe do jezdnii, na której wprawdzie ruch niewielki, ale przecież przyjemniej wozic się wydzieloną ścieżką gruntową, co nie? Tymczasem granice powiatu już dawno uciekły w nieznane, z każdym obrotem korby zbliżacie się do jakiegoś centrum, choćby wyimaginowanego i najskromniejszego ze skromnych, uosabianego czy to przez terytorium parku narodowego, czy to przez metropolitalne zakusy Chojnic, czy to kurortowy szyk Charzyków, czy to nawet strzelistość kościelnych wież w Brusach. W końcu, nie licząc już na upominki za przecięcie taśmy na lotnym finiszu, docieracie do skrzyżowania na Kopernicę, skąd możecie udać się w stronę Charzyków, okrążając Jezioro Charzykowskie od zachodu, możecie też pociągnąć paręset metrów prosto do skrzyżowania z odnogą Marszruty prowadzącą do Charzyków przez Małe Swornegacie.

Czarna pętla spod znaku lokalnych dróg jest niczym słynny wyścig Paryż-Roubaix. Na pozór prosta trasa po lekko pagórkowatym terenie, w rzeczywistości „piekło północy”, oferujące kolarzom niezapomniane wrażenia z jazdy po kocich łbach, dziurawych





poboczach i wąskich drózkach między polami. Z tą różnicą, że w kaszubskim wydaniu to nie bruki uchodzą za wrogów numer jeden; to piachy po pachy, które wgryzają się w rowery niczym sfera bulterierów i puścić nie zamierzają, to leśne dukty pełne złośliwych krasnoludków, co podstawiają nogę za nogą, to ruczaje i zarośnięte rzęsą trawiorka, to wąwozy i skarpy, gotowe zrzucić cię z siodła i zagrzebać w pryzmie sosnowego pyłu. Lokalne, kaszubskie „piekło północy”, tak samo jak francuski wyścig-patron, dzieli się na sektory: te asfaltowe jawią się jak czerwony dywan rozścielony przed zmachanym na amen kolarzem, przed kolarzką oddychającą rękawami. Te piaszczyste to jak ziarenka grochu pod kołami księżniczki, jak rozżarzone węgle pod stopami chojraków przy ognisku, jak gwoździe wrzynające się bez pardonu w ciało fakira. Bez subtelności jednych nie byłoby grozy drugich.

Tak sobie dumacie po dniu wyprawy, tymczasem ani się obejrzeliście, a tu nadciągnął zmierzch i wszystkie drogi idą spać. Nad Chociną przepływają mgły niczym dym z chęczy. „Misty taste of moonshine, teardrop in my eye”.

2. Wolność kocham i rozumiem. Pętla wokół Jeziora Charzykowskiego

„Na jeziorach pięknie dzisiaj, taka przeogromna cisza” – wyśpiewał wam onegdaj Jerzy Porębski, no i wiecie, sentymentalnie się zrobiło, zwłaszcza że, jak głosi szanta, „dokoła zapach mięty, szumi pięknie łąn niezżęty i ogromny las za sobą mam”. I skoroście już tak tęsknie zalegli w śpiworku nad Chociną, to nic innego wam nie pozostaje, jak z rana, po jajecznicy, owsiance i resztkę herbaty z termosu, podnieść się dziarsko w korbach i objechać główny akwen powiatu, lokalne Como, Gardę i Trasimeno w jednym, o innych



Bajkałach i Balatonach nie wspominając, bo do pięć nie dorastają. Jezioro Charzykowskie to nie byle sadzawka, pięknnością swą przewyższa wód wiele, a przecież wodą Kaszuby się szczycą – i tą płynącą, i tą stojącą – lecz przewyższa i rozmiarem, będąc drugim co do wielkości jeziorem na całym obszarze Borów Tucholskich. Grubo ponad tysiąc trzysta hektarów, trzydzieści metrów głębokości, dziesięć kilometrów długości, maksymalnie dwa i pół szerokości – takie dane ma wpisane w dowód, w końcu jeziora też powinny mieć swoje do-wody, rzecz prosta, warta choćby ćwierć-uśmieszku, zwłaszcza gdy poranny chłodek wdziera wam się w manetki i palce kostnieją jak stalaktyty. Do tego spotkacie tu całą masę żeglarzy, kajakarzy i innych wodniaków, wszak jezioro zasila Brda i trzy inne większe rzeki, więc jest skąd i dokąd płynąć, a nie tylko kręcić się w kółko jak fryga. Żal tylko, że rower nie wwiezie was – no chyba że mowa o wodnym, których zastępy przycupnęły przy redzie – na którąś z dwóch wysp, Miłości lub Bachorską, które zdobią taflę jeziora i nęcą syrenimi trelami. Wygłodniałe sielawy pożarły już niejednego śmiałka, który rzucił się w toń w poszukiwaniu przyjemności życia – tak przynajmniej mówi legenda, a z legendami jak z formą polskich piłkarzy: ktokolwiek widział, ktokolwiek wie.

Tymczasem już na wstępie konflikt tragiczny: czy napocząć pętelkę od wschodu, głównym szlakiem Kaszubskiej Marszruty przez Małe Swornegacie i Funkę, a to akcent mocny, sztandarowy nieomal, wiecie, taki prawie jak Arenberg, Stelvio czy Tourmalet na słynnych wyścigach; czy raczej od zachodu, gdzie nie tak medialnie, lecz z całą pewnością dziczey, puściej i melancholijniej? Panie, panowie, nic nie ucieknie. Jedźcie sobie jak chcecie, z zachodu na wschód, ze wschodu na zachód, bylebyście nie przeliczyli się z siłami. Owszem, kilometrów ledwie kilkadziesiąt, ale trasa przypomina bieg z przeszkodami, a może nawet parkur dla smagłych wierzchowców. Niejeden tu już odpadł z peletonu i ledwie się zmieścił w limicie czasu, dopedałowując do mety jako maruder ostatni z maruderów, bo sił nie zmierzył na



zamiary i podjazdów zmóc rady nie dał, smuteczek. Niejeden też, omamiony zmiennością nawierzchni, która swobodnie przechodzi z gruntowych muld do leśnych piachów, z asfaltu lśniącego niczym rama bianchiego, colnago lub wiliera po wizycie w myjni – aż do kamienistych parowów, co trzęsą tobą jak najgorsza febra. Tak czy owak, przygoda czeka, nawet jeśli zza winkla zagląda duch plażowicza, tego popularnego tu i ówdzie Fuma, co by tylko odpoczywał, leżąc do góry brzuchem, a tu klops, kręcić trzeba długie godziny, naciskać na pedały bez ustanku jak w chomiczym kołowrocie.

No ale, jak zbyt dobrze wiemy, leżenie samo w sobie bywa wycieńczające, więc chyba już lepiej wsiąść na rower i pójść w kolarskiego trupa przez nadbrzeżne lasy, w mgnieniu oka okrążając Jezioro Charzykowskie za żółtymi znakami Marszruty. Za Chocińskim Młynem skręćcie w lewo, w stronę Kopernicy; asfaltowa droga wiedzie gęstym borem sosnowym, na przemian wznosząc się i opadając, początkowo tuż przy brzegu Jeziora Głuchego Dużego o przepięknej turkusowej barwie. O, tu byście najchętniej zanurzyli się w poszukiwaniu skarbów – skarbów lokalnej fauny przynajmniej, bo inne skarby to już wybrane, amatorzy złotych monet i skrzyń z rubinami dawno temu przeczesali każdy centymetr dna. Przygarnawszy do serca wszystkie okoliczne czaple, ślepowrony i żurawie, możecie już zmykać w stronę Babilonu, choć najpierw czeka na was przejazd wdzięcznym mostkiem nad Brdą; z lasów wyjeżdżacie wprost do doliny rzecznej pełnej wodnej roślinności, łąkowego kwiecia i słońca, co podpraża wam włosy pod kaskiem. Miejsce bajkowe, rozmarzycie się, w sumie można by zostać na amen, rzucić rower w krzaki i moczyć nogi w Brdzie do zmroku. Co tam Jezioro Charzykowskie, co tam pętla w planach, tutaj ciepłko, rzeka pluszcze niespiesznym rytmem, grają owady i pogwizdują ptaki. A jednak zew kolarski prześwidrowuje się przez te ćwierkania jak ów kret-gigant w korytarzach metra, co dokopał się do środka ziemi, jak was uczono w przygodach Tytusa,

Romka i ATomka; bije rowerowa konieczność donośnie jak baba kafara, wwierca się w was jak tęga bormaszyna; no nic, żegnajcie popasy, czas gnać.

Babilon nad Jeziorem Dużym Łownym to jak połączenie wizji rajy pośrodku puszczy z powidokiem atrakcji zgoła kolonijnych. Osada złożona jest z wyelegantowanych domków wczasowych, sterczących z runa jak bieluchne kanie. Dookoła rezerwat przyrody – nad braciszkiem Dużego Łownego, Małym Łownym – torfowiska i bezkresne lasy, gdzieś za drzewami skryte brzegi Jeziora Charzykowskiego, do których uwiązaliście się jak do smyczy. Sama nazwa Babilonu więcej niż z Biblią ma wspólnego z Babimi Łakami, zniemczonymi wprawdzie, lecz dawno to i nieprawda, bo teraz tu jest Polska, na co bezbłędnie wskazuje flaga powiewająca znad ośrodka. Teraz hop w lewo, bliżej wód. Asfaltowe dróżki, po których rower frunie jak drezyna po bocznym torze, wyprowadzają was po paru kilometrach do Kopernicy, malowniczo położonej wioski o bogatej tradycji. Stąd już rzut beretem na brzeg Jeziora Charzykowskiego z niewielką przystanią i szerokimi panoramami na cały akwen. Kopernica ma historię młyńską, historię drwalską, no, niegdyś okoliczni mieszkańcy na brak zajęć nie narzekali, teraz zaś została tu ledwie garstka najwytrwalszych, którzy nie mają zamiaru się poddawać opowieściom spod znaku mchu i paproci, nie chcą się dać prowadzić na pasku samotności, mimo że, jak wtóruje szancierzom echo, „choć tak piękne dziś jeziora, choć tak pięknie dookoła, czemu w duszy tylko smutek gra?”. Tęskno wam się robi piorunem, a nic tak tęsknoty nie rozwiewa jak perspektywa dalszych kilometrów z jakąś drobną nagrodą na lotnym finiszu, więc nic, tylko jechać.

W Kopernicy, tuż przy starym młynie, przekraczacie Czerwoną Strugę; czerwono robi wam się przed oczami, bo woda rdzawa – dość powiedzieć, że nazwa Kopernicy bierze się właśnie od miedzi (po niemiecku miedź to Kupfer) – do tego poczerwienia-

Te liście na dębach i bukach, które wystają nagle spoza sosnowych szeregów niczym grupa Entów łapiąca autostopa, no i całkiem ruda żmija, niemrawo sunąca po asfalcie, jak gdyby wcale nie była pewna, czy faktycznie chce jej się oddalać od wód Jeziora Charzykowskiego. Szkoda, przemyka wam przez myśl, że żmija nie ma choćby najcieńszego futerka, moglibyście ją wtedy posmyrać za uszkiem jak króliczka, jak kawie domową lub dwie kawie, poznać bliżej, a tak to trudno, machacie na nią płetwą i dalej, fru, pędzić równoległe do linii brzegowej. Szuter pryska spod opon, a wy mijacie zakosami leśniczówkę w Łukomiu, po czym dajecie nura w wąski, cienisty wąwóz, który trawersuje morenowe wzgórze o dumnym mianie Wolność, wznoszące się nad jeziorem na ponad dwieście metrów. Tu buki przejmują już władzę nad borami sosnowymi i zdaje wam się, że realia kaszubskie ustąpiły nagle puszczołom podlaskim czy bieszczadzkiemu ostępom.



Nic bardziej mylnego, Kaszuby nadal trzymają się mocno, choć rzeźba terenu radykalizuje się w jednym momencie i wysyła przeciwko wam stromy podjazd za stromym podjazdem. Morenowe pofałdowania dają możliwość zjazdu z górki na pazurki do kilkunastobudynkowej osady dzielącej nazwę ze wzgórzem, a stamtąd już niewiele ponad kilometr do pierwszych zabudowań należących do właściwej części Charzyków.

Wolność kochacie i rozumiecie, co jest jasne przynajmniej od czasów piosenki Chłopców z Placu Broni; w tej charzykowskiej Wolności zakochać się można od pierwszego wejrzenia. Skarpą stromą niczym tatrzański Żleb Kulczyńskiego da się zejść na sam brzeg Jeziora Charzykowskiego, strasząc kormorany i rozleniwionych jachtowiczów. Za widoki na drugi brzeg, tam, gdzie charzykowskie korso, molo i gwoździe kurortowego programu, niektórzy, jak nie sie fama, dali się pokroić. Tak czy owak macie tu słoweński kras w skali mikro, wprost nawiązanie do wybrzeża dalmatyńskiego – u góry całkiem okazałe wzniesienia pełne saren i motyli, a w dole błękitną toń z białymi punktami żaglówek. Kiedy się już nasycicie błogostanem, zapodajcie sobie parę obrotów korbą; oto meldujecie się w centrum Charzyków niczym na lokalnej riwierze, gdzie uroki wczasowości idą w parze z duchem sportu. To właśnie tutaj narodziło się polskie żeglarstwo – założony przez Ottona Weilanda lokalny klub, pierwszy w niepodległej Polsce, obchodził w 2022 roku stulecie istnienia, przy czym same Charzykowy przygotowują się do obchodów siedemsetnej rocznicy lokacji, choć gród istniał tu już sporo wcześniej. Efektowna przystań sugeruje, że i dziś miejscowość przoduje w sportach wodnych, zarówno w wydaniu wyczynowym, jak i tym nieco bardziej rekreacyjnym. Wystarczy rzucić okiem na taflę jeziora – zawodowcom w megałodziach towarzyszą wyluzowani amatorzy jednostek pływających w kształcie łabędzi, pudli czy stegozaurów. Wkoło tłoczą się rybitwy i mewy, które założyły kolonie na starych łódkach na skraju portu.

Kursujecie tam i z powrotem zadbaną promenadą, bezpretensjonalnie wijącą się nad brzegiem Jeziora Charzykowskiego, które z tej perspektywy niewiele ustępuje morskiej zatoce, rozciągając się po horyzont i dając poczucie bezmiernej przestrzeni, która z całą pewnością by was porwała, gdyby chciała. Ale porywać nie chce, bo woli, żebyście sobie pozwiedzali Charzykowy, a do zwiedzania trochę tu mają; a to kapliczka jedna za drugą, a to ciekawa ceglana dzwonnica z początku XX wieku, co grać by mogła w niejednym horrorze typu „Wiem, co zrobiłeś w Charzykowach zeszłego lata” czy w innym „Koszmarze z Kaszubskiej Marszruty”, a to stare dachy i domy wczasowe jak z dzieciństwa. Jasne, gdzieś tam kurortowość może wam się wydać nadmierna, bo wszędzie wciskają się przybytki z lodami, hot-dogami i roje eklektycznych hoteli, ale to przecież istotny element genius loci nadwodnego letniska, zwłaszcza że do Chojnic ledwie parę kilometrów – czy prostą drogą, czy przez Chojniczki – i ruch turystyczny nigdy nie zamiera. Ale jest tu coś, co sprawia, że chce się wsiąknąć w ten niespieszny rytm, rybkę przekąsić w którymś z lokali, a rybki serwują tu niezgorsze, nóżki wyciągnąć na jednej z licznych ławeczek, zagwizdać „może znają to łabędzie, czemu lato takie dziwne smutki przędzie?”. Po raz kolejny z trudem wam przychodzi oderwać się od wizji wakacji na leżąco, zostawiacie na boku wydziergane melodią smutki, by objechać charzykowską przystań aż po jej opłotki, gdzie już więcej szuwarów i pałek wodnych niż jachtów. Po chwili ścieżka rowerowa biegnąca wzdłuż drogi łączącej Charzykowy z Chocińskim Młynem wyprowadza was w kierunku rowerowej chluby – bramy Kaszubskiej Marszruty.

Tam, gdzie z jednej strony lasy Parku Narodowego „Bory Tucholskie”, z drugiej las porastający brzegi Jeziora Charzykowskiego, rozsiadł się Stary Młyn, osada z kilkoma domami, będąca forpocztą Funki. Rej tu wodzi wybudowana niedawno rowerowa brama, będąca udanym połączeniem lotnego finiszu, punktu wypoczynkowego, polowej stacji naprawczej – są nawet kontakty do

podładowania zmęczonych baterii rowerów elektrycznych – i przestrzeni witającej rowerzystów chcących zmierzyć się z głównym, znakowanym czerwono, odcinkiem Kaszubskiej Marszruty, wiodącym wężuchnym przesmykiem między wschodnim brzegiem jeziora, terenami parku narodowego, a później, w Małych Swornegaciach, swoistą groblą oddzielającą Jezioro Charzykowskie od Długiego i Karsiańskiego. Macie tu wszystko, czego dusza zapagnie, więc znów byście mogli zalec tu na dobre, uszy zamykając na wołanie roweru, który zdążył się znudzić jak mops, ale znani jesteście z dobrego serca, więc wracacie z tego kolarskiego pit-stopu na trasę jak nowo narodzeni. I dobrze, bo droga kręta i pofałdowana, do tego upstrzona korzeniami wystającymi z piaszczysto-żwirowego podłoża: tereny niby przejażdżkowe, a okazuje się, że trzeba się sporo napocić. Dobrze, że w ramach prezentu dostają się wam piękne widoki jeziora błyskające raz po raz zza drzew. Zaraz mijacie







Funkę, wieś o młynarskim wprawdzie rodowodzie (nazwa wzięła się od Funków, niegdysiejszych właścicieli młyna), lecz będącą już w międzywojniu ośrodkiem ruchu harcerskiego dziewcząt, które pływały, żeglowały i wędrowały, aż się kurzyło. Do dziś harcerzy tu co niemiara, edukują się ekologicznie i chyba im z tym dobrze. Nieopodal Funki – Bachorze z bazą lotniskową, krzyżem pozostawionym w 1812 roku przez legionistów idących z armią napoleońską na Moskwę (choć przeniesionym niedawno głębiej w las), i niewielką nadjeziorną plażą. Nazwa osady zgodnie z prawdą sugeruje, że w okolicy pełno moczarów i bagien, ale wy wolelibyście tego nie sprawdzać na własną rękę; jazda na rowerze jest fajna zwłaszcza wtedy, gdy nie trzeba nim nurkować po szyję w grzęzawisku, co nie?

Za Bachorzem, które jest również dogodnym punktem startowym dla tych, co udają się na szlaki Parku Narodowego „Bory Tucholskie”, ścieżka Marszruty z lekka mrocznieje, a mrocznienie to ma związek z rzeźbą terenu, która coraz bardziej przypomina bezdroża cokolwiek górskie. Skoro góry, to warto wdrapać się na wznoszącą się nad brzegiem jeziora zalesioną kopę, niech rower trochę postęka, gniotąc szyszki na pokrytej igliwiami ścieżynce, bo wyprowadzi was gracko na punkt widokowy, a to dopiero będzie atrakcja, że ho ho. Ze szczytu Jezioro Charzykowskie prezentuje się bowiem wielobarwnie: z jednej strony majestatycznie, jakby w rozleniwieniu nie chciało mu się udowadniać swojego niezaprzeczonego powabu, z drugiej zaś znacznie skromniej, jak gdyby ani czaple nad taflą wody, ani żurawie gdzieś hen na niebie nie były wystarczającym argumentem, żeby ponacierać się samozadowoleniem. Nażykawszy się pięknych panoram, wskakujecie na rower i w te pędy zjeżdżacie z powrotem na trasę. Marszruta wcina się tu na moment na teren parku narodowego, meandrując przy samym brzegu jeziora, w końcu przeprowadza was nad Strugą Siedmiu Jezior – widoki oszałamiające, nie bójmy się słów, warto zatrzymać się i nasycić, jeśli wam coś w bidonie zostało – po czym

wwozi do rybackiej osady na styku jezior. Małe Swornegacie, znane jeszcze w pierwszej połowie XVIII wieku jako Zwierzyniec, oferują dziś noclegi, obiady, łowiska, choć wszystko to w wersji mini, dla tych szczególnie, którym niemiły jest zgiełk kurortowej imprezy; tu znajdziecie ciszę i spokój, czemu sprzyja specyficzne położenie miejscowości. Wciśnięta, jak już wiecie, w wąski przesmyk między trzema dużymi jeziorami nie jest w stanie urosnąć do rangi hiperletniska, zadowala się swoją ustronnością, choć nie znaczy to, że psa z kulawą nogą tu nie uświadczysz, przeciwnie, zwierząt tu nie brakuje, zwłaszcza tych ze skrzydłami, którym na hasło „noclegi, obiady, łowiska” robi się nie mniej gorąco niż wam.

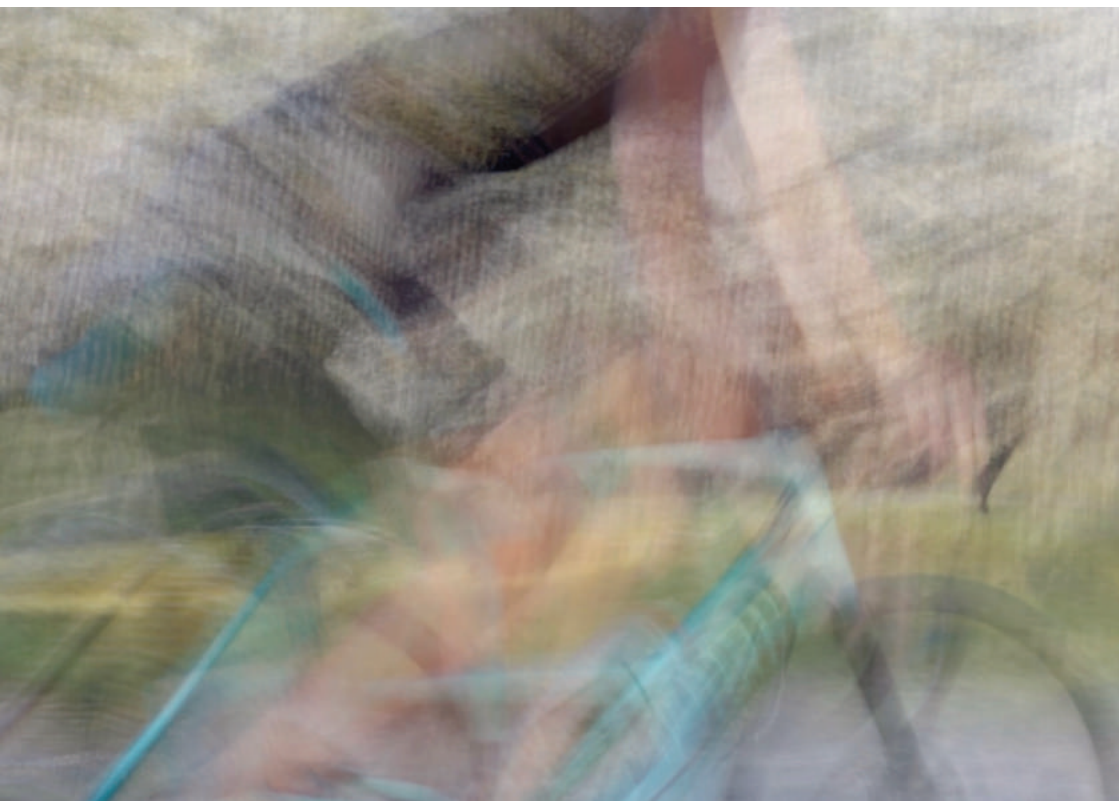
Na rogatkach Małych Sworów macie okazję przewieźć się przez ładny most zwodzony na Brdzie, która jak gdyby nigdy nic przepływa sobie z jeziora do jeziora, zabierając z nurtem kajakarzy i żeglarzy, więc dla ich wygody most czasem się podnosi –



i dobrze, bo co miałyby tak leżeć tylko plackiem jak wyżej wspomniane Fum. U zbiegu jezior wyhaczycie też pole biwakowe, usytuowane w malowniczym zakątku sosnowego nabrzeża, zresztą malowniczość tę mają w okolicy w nadmiarze wprost nieprzyzwyczajonym, może wręcz wypadaloby się podzielić z innymi regionami naszego kraju, gdzie malowniczości braki i smutki z tego powodu wszechobecne. Ale tutaj smutki jakby również wpełzały cichaczem, bo raz, że Chociński Młyn tuż-tuż, nieomal za winiklem, za paroma zakosami, czyli zbliża się koniec dzisiejszych jazd, dwa, że dzień już się w sobie zapada i luna krańcowości ogarnia was swą pelerynką, a trzy wreszcie, że przypominacie sobie słowa szanty, które nic, tylko smutek obrabiają na każdą stronę, każąc wam nucić, gdy porzuciliście już wolność rowerowych tras po sosnowych borach na rzecz zamglonych łąk nad Chociną: „może, szantą kołysana, moja radość śpi pijana, na jeziorach wspomnień, gdzieś daleko stąd”.

3. Pod prąd (I). Doliną Zbrzycy ze Swornegaci do Widna

Nachodzi taki moment w życiu każdego rowerzysty, że trzeba podziękować za gościnę, opuścić wygodne pielesze i pognać gdzieś w świat. Zachodnie rubieże powiatu chojnickiego już zjeżdżone do cna, więc kierunek rysuje się jeden: na wschód, tam musi być jakaś cywilizacja! Cywilizacja cywilizacją, ale czerwone znaki Kaszubskiej Marszruty pchają was z nadchocińskiego gąszczu w stronę Brus, wzdłuż szosy, przy której raczej pustki – bo trudno uznać drobne zabudowania osady Wączos i siatkę śródleśnych duktów



za widomy znak gwałtownych przyborów w temacie gęstości zaludnienia. Jedziecie sobie leciutko jak piórko, zefirek muska wam szprychy, widelec wybiera nierówności jakby był kolarskim aniołem stróżem, słowem: uroki rowerostrady, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że pagórków dookoła nie brak i łydki mogłyby się ponapinać znacznie intensywniej. A tu się nieomal płynie, nic więc dziwnego, że czujecie się niczym w kajaczkach z ofiarnym przybocznym, co to macha pagajem za siebie i za was, po strumyku z gracją baletmistrza. I od razu łezka się w oku kręci na samo wspomnienie Chociny, którą porzuciliście bezecnie, choć nie do końca; towarzyszy wam w pewnej odległości, zmierzając do Jeziora Karskiego w leśnym odosobnieniu. I od razu nutka wpada wam w ucho wprost ze szlagieru Heleny Grossówny, choć nie wokół Wisły krążą wasze myśli: „ach, jak przyjemnie kochać się wśród fal, gdy szumi, szumi woda i płynie sobie w dal”.



Podajmy decyzję – nad Zbrzycę marsz; fal może nie uświadczycie groźnych jak podczas przypływu, lecz woda szumi nad Zbrzycą najpiękniej.

Brdę wszyscy znacie, rzecz prosta, królową jest rzek borowiackich, koniec kropka; hymny się o niej pisze, powołuje rezerwy, ale i udrażnia do spływów, bo modne i zdrowe. Tymczasem Zbrzyca wcale blado przy niej nie wypada, ba, imponuje dzikimi meandrami, szybkim nurtem, rybią klientelą w stylu szczupaków, okoni, kleni i pstrągów, licznymi uroczyskami, dającymi wam złudę uczestniczenia w jakimś przedpotopowym świecie pełnym plezjozaurów, które nic, tylko wylegiwałyby się na łączce przy stacji. Plezjozaury chyba jednak teraz nie są tak popularne jak kiedyś, ale ich bliscy krewni, żurawie i czaple, już tak. Oglądacie sobie ich kolejne grupki, gdy przelatują w drodze na żerowiska, sami pędząc w stronę Swornegaci. Bo żeby dostać się nad brzeg Zbrzycy, trzeba się jak najsprawniej przenieść tam, gdzie w jeziorze Witoczno łączy ona swoje wody z Brdą, a potem tylko siup pod prąd, pedałując własnymi ścieżkami w stronę jej źródeł, które wprawdzie wybijają już poza granicami powiatu, lecz dają początek rzece na długim dystansie stanowiącej główną arterię jego północnych skrawków.

Dzyń, dzyń – lekkim zjazdem wparowujecie do Swornegaci jak do babci ukochanej, coście jej nie widzieli od wieków, jak do ulubionej bazy, którą zakładaliście z ziomkami w trzeciej klasie podstawówki, jak do sklepiku ze słodyczami pod sufit i wywieszką „bierzcie, ile wlezie”. Jeśli Chociński Młyn nazwaliście lokalnym centrum, bo leży wśród odnóg Kaszubskiej Marszruty niczym rynek wypuszczający macki okolicznych uliczek, to Swornegacie byłyby centrum do szczęścia; to prawdziwa metropolia wśród rozrzuconych na brzegach jeziora Karsińskiego osad o dźwięcznych nazwach Owink czy Kokoszka, to tutaj toczy się życie regionu, gdzieś w przecinkach między pensjonatami i sklepikami, wśród turystów wałęsających się tam i z powrotem lub wysiadujących na

ławeczkach w pozach myślicieli. A myśleć jest nad czym; historia Swornegaci sięga wieku XIII, kiedy przybyli na te tereny augustianie, by założyć klasztor, później zastąpili ich cystersi, po czym zawitali na parę dobrych lat Krzyżacy; działo się tu zresztą dużo i burzliwie, dość powiedzieć, że podczas II wojny światowej wieś wysiedlono i zamieniono w poligon. Teraz, po gruntownej odbudowie, Swory uchodzą za perełkę regionu, nie trzeba zresztą geniusza, by to zrozumieć, skoro to właśnie tu spotykają się trzy główne rzeki – Brda, Zbrzyca i Chocina – i to stąd najbliżiej do głównych atrakcji Parku Narodowego Borów Tucholskich.

Od razu po przyjeździe zauważacie, bo zauważyć nietrudno, że nad miejscowością efektownie góruje neobarokowa świątynia, która przy bliższym kontakcie okazuje się kościołem św. Barbary, pochodzącym sprzed stu lat z okładem i godnie zastępującym kościółki drewniane – ten trzynastowieczny oraz ten z osiemnastego wieku, obecnie stojący w skansenie etnograficznym we Wdzydziejach. No i skoroście się tu pojawili, to nie możecie zapomnieć o wizycie w Kaszubskim Domu Rękodzieła Ludowego, w którego progach obejrzycie wystawę sztuki ludowej, wyposażenie tradycyjnej kaszubskiej chaty i działający piec chlebowy, choć to piec nie ostatni podczas dzisiejszych tras; co głodniejsi z was na pewno uszczkną sobie jakąś pajdkę, bo, jak wiadomo, nie ma jak chlebuś na wspomnienie mięśni, wszystkie żele i batony niech się schowają w mysiej dziurze i nie wyłażą aż do amnestii. Rundkę po Swornegaciach kończycie, przebywszy wążiutki Kozi Mostek łączący brzegi Brdy; rzeźby kóz pasą się na trawie nad wodą jak żywe, a wy, odbiwszy w prawo, i nad rzeką kręcicie w stronę osady Zbrzyca, najpierw asfaltem, później szeroką piaszczystą drogą wśród zadbanych domków i gospodarstw, wśród feerii barw strzelających z nadbrzeżnych ogródków; Tatusia Mumin-ka skręca z zazdrości, że bujność tak spektakularna, brat Homka Tofta zajada ziemię z rabatki, zaś Paszczak nie nadąza z klasyfikowaniem wszystkich gatunków kwiatów. Tylko Włóczykijowi



w to graj, wędruje sobie niespiesznie okolicznymi lasami na własną rękę i ani myśli wrócić do głównej ulicy, woli wycieczki z dala od mainstreamu.

Otóż to, od Sworów nie ma już z wami znaków Kaszubskiej Marszruty, wspomagacie się „zwykłą” trasą rowerową oraz szlakiem pieszym, do spółki wiodącymi nad jezioro Witoczno i dalej, opuściwszy Brdę, nad Zbrzycą w stronę Parszczenicy, tam zaś powiat urywa się niespodziewanie niczym sznurowadło, gdy wam się spieszy i potem musicie gnać w dwóch różnych butach. Samo Witoczno macie za prześliczne, bo i prześliczne doprawdy jest, bez dwóch zdań. Zabudowania ośrodka PTTK, składające się z drewnianych domeczków ustawionych na grubych balach przy brzegu jeziora, przypominają indiańską wioskę, choć Papa Smerf pewnie by polemizował, bo i jego chałupkę szłoby tu rozpoznać. Wioskę, dodacie, nieco opuszczoną, bo dookoła żywego ducha; na siedziśkach rozsianych na brzegu rozparły się jedynie nartniki, którym znudziły się ciągłe spacerunki po wodzie, ileż można tych cudów. Witoczno stanowi stację docelową dla Zbrzycy, tu kończy ona swój bieg pełen załomów i nisz, no cóż, jest to rzeka zdecydowanie po przejściach. Jadąc na północ pustynną drogą, wśród borówczysk i wrzosów, przyglądacie się jej bacznie, obserwując jej przeszłość, odprowadzając metr po metrze ku źródłom i z ochotą przysłuchując się jej szemraniu, a po chwili nucąc je do taktu. W końcu, jak zapamiętaliśmy z piosenki, „ach, jak przyjemnie, radosny płynie śpiew, że szumi, szumi woda i młoda szumi krew”.

Z tą młodą krwią może przesada, bo choć młodość bywa powodem do chwały, nikt temu nie przeczy, to na animuszu nie zbywa i tym nieco bardziej doświadczonym. Tutaj i doświadczenia, i animuszu nigdy za wiele, bo droga naraz karleje, zmieniając się w leśną przecinkę, wiodącą tuż nad brzegiem Zbrzycy; ta znów przemyka na całym odcinku bujnym wąwozem, dając schronienie łabędziom – niemym i krzykliwym – żurawiom trąbiącym zza drzew i plezjozaurom, wiadomo, czyhającym wśród



wykrotów na nieuważnych kolarzy, którym udało się cofnąć do przeszłości nieco dalszej, niż to mieli w planach.

Wertepy wkrótce wyprowadzają was na rozdroże: podążając w lewo, początkowo brzegiem jeziora Śluza, później gęstym lasem, można towarzyszyć rzece w jej wstecznej podróży; w prawo zaś, przekraczając jej nurt, droga idzie asfaltowym skrótem nad Jeziorem Długim, później Zmarłym; tak czy siak spotkacie się w Lasce, gdzie obie drogi schodzą się jak dwaj przyjaciele z boiska. Jak zwykle na rozdrożu dyskusjom nie ma końca, bo talentów bilokacji natura wam jednak poskąpiła, żalność ogromna i ból istnienia. Zróbcie tak, że szosowcy niech pojedą asfaltem, a reszta ścieżką leśną, oto rozwiązanie genialne w swej prostocie, dziękować nie trzeba. Chociaż do mostu nad Zbrzycą powinniście pofatygować się wspólnie w zespole; Śluza, jak zwie się nie tylko okoliczne jezioro, lecz cała ta śródborowiacka przestrzeń,



oferuje wam moc wrażeń, jak to zwykły głośić reklamy nowych SUV-ów oraz płynów do mycia naczyń. Gdyby zachciało się wam tu zostać na dłużej, to przez najbliższe pół wieku nikt nie miałby szans was odnaleźć, no chyba że jakiś gorliwy kuzyn Rumcajsa lub Żwirek i Muchomorek, oni mają swoje sposoby. Zbrzyca przepływa tu najdłuższym z ostępów, aż nie do wiary, że ktoś wylał nowiutki asfalt, skoro korzystacie z niego tylko wy, łosie i jelenie. Trasy nad Jeziorem Długim nie trzeba nadmiernie zachwalać, bo to właściwie spełnienie marzeń każdego szosowca: wąska, wijąca się pagórami w gęstym lesie jezdnia, której jesteście jedynymi użytkownikami. W oddali majączy tafla Jeziora Zmarłego, po prawej ręce – Nawionka. Włącza wam się wewnętrzna melodia, co powiadamia radosnym głosem Grossówny, że jest „tak uroczo, tak ochoczo, serce bije w takt”, no i że woda szumi, ale to już dobrze wiecie, choć zaraz, Zbrzyca płynie sobie przez moment gdzieś indziej, więc szумы to chyba nawinęły się wam na uszy i odtwarzają samoistnie; nie da się zaprzeczyć, że to idealna ścieżka dźwiękowa do tak pięknych okoliczności przyrody.

Po dotarciu do skrzyżowania kierujecie się na lewo. Ostry zjazd wwozi was z lasu wprost do kompaktowej osady Laska. Tu wracacie nad rzekę, która zdążyła się w tym czasie cofnąć o parę dobrych lat; przypomina teraz swoją młodszą siostrę, Kulawę, toczącą nieopodal swoje wody. Nad Kulawą prowadzi także ładna ścieżka dydaktyczna z finiszem w Kruszynie, okrążając po drodze skryte w leśnej gęstwinie jeziora Małe Głuche i Wielkie Głuche – na rowery w sam raz, pod warunkiem, że ma się opony grubaśne niczym baleron, bo inaczej ugrzęznąć można na amen w tutejszym ergu obsianym mnóstwem barchanów. W okolicy bada się, ile procent piasku jest w piasku, no i wyniki nie pozostawiają złudzeń, ponad sto. Zamiast nad Kulawą, jedziecie dalej nad Zbrzycą, która rozlewa się w Lasce, tworząc idealne warunki do biwakowania, zresztą parę osób korzysta z nich ile wlezie, piknikując sobie na polance pod pomnikowym dębem o obwodzie

pnia przekraczającym osiem metrów i wysokości trzydziestu metrów. Towarzystwo wsłuchuje się w nurt, który z wartkiego zwinął się nieco i teraz plumka od niechcenia. Wtem sielankę burzy nadbiegający z lasu chłopaczek na oko dziesięcioletni; dzierży w ręce gigantyczną kanię niczym puchar za zdobycie pierwszego miejsca. Cała Laska rozbrzmiewa cmokaniem podziwu, szkoda tylko, że grzyb okazuje się drewniany, takie smakują trochę gorzej, przyznacie sami.

Droga wspina się teraz na zalesione wzgórze. W lewo odchodzi trasa w stronę Parzyna, leśna przecinka w sam raz dla wyścigowców, którą moglibyście potraktować jako skrót, gdyby nie to, że mkniecie krótkim szpurtem do Widna – tam na dziesiętym etapie czeka na was lotny finisz umiejscowiony na moście nad Zbrzycą, w miejscu całkiem rajskim, tuż obok stancy, leśniczówki i kilku stareńkich domostw. Słońce przygrzewa, ale nad wodą rześko i z tej rześkości korzystacie do woli, uzupełniając płyny i zapoznając się z szefową na dzielni, łaciątą kotką, która zajada z wami energetyczne batony, aż jej się uszy trzęsą. Za mostem asfalt zamiera wśród barwnych klombów i kilku białonych chatek stanowiących całą wieś. Arkadyjski klimat Widna wzmoże się, gdy podejść do chlebowego pieca, który tkwi pośrodku osady niczym kaszubska axis mundi; piec hula w najlepsze, więc gdybyście jednak woleli tu osiąść, a nie wciąż tylko pedałowac i pedałowac jak te niedźwiedzie w cyrku, z głodu nie umrzecie. A osiąść by się chciało, nie czarujmy się, bardziej niż gdziekolwiek indziej. Gdyby ktoś was kiedyś zapytał, jaki skarb w powiecie chojnickim najdroższy jest waszemu sercu, to wątpliwości żadnych nie macie, Widno nadaje się do tej roli jak mało co. I znów włącza się wam tryb radosnego rowerzysty, śmiejecie się do siebie samych, do kotki, która liże sobie łapki na brzegu Zbrzycy, a nawet do pani, która nic, tylko podlewałaby swoje cynie, malwy i inne kwiaty o płatkach we wszystkich odcieniach świata. W końcu, jak zapodaje głos w waszej głowie,

„gdy jest pogoda, szumi woda, tak nam mało brak do szczęścia!”. I z chęcią osiadacie, może nie na zawsze, bo prędzej czy później rozepcze was globtroterska niecierpliwość, opisywana przez innych, mniej czułych może, przenośniami z udziałem mrówek i owsików; osiadacie, bo dolina Zbrzycy wciąga i oddać nie chce, finisz lotny przekształcając w metę etapu. Możecie co najwyżej podejść sobie kilometr–dwa południowym brzegiem, wśród krzaków jeżyn, powalonych pni i piaszczystych skarp, aż ścieżka, od początku raczej niepozorna, wywiezie was kilkoma wyboistymi duktami na nadzbrzyckie łąki, gdzie w ogólnej cichości napotkacie zgraną żurawią rodzinę, wyskubującą sobie jakieś miniprzysmaki z trawy, bezceremonialnie niczym ze szwedzkiego stołu. Takich szwedzkich stołów zresztą macie tu więcej, rozgościliście się nad rzeką jak w Hiltonie czy innym Sheratonie, różnobarwne krowy pasące się nieopodal biorą was już za stałych



bywalców i po krótkiej chwili podchodzą na przytulanki – razem spędzacie całe popołudnie na czymś, co Zbigniew Herbert nazwał „hodowaniem oswojonych godzin”, czyli godzin, które mijają, choć macie wrażenie, że czas zastygł jak wałka nad potokiem.

Od przypadku do przypadku rzucacie okiem na męki kajakarzy mierzących się z przenoskami w wąskim korycie Zbrzycy, która wcale nie przypomina już szerokiej, rozlanej rzeki spod Witocznia. Odmłodziła po drodze i czeka ją jeszcze parę przygód, zanim zmieni się w drobną strużkę i zniknie na dobre zgodnie z zasadą przetestowaną sto lat temu przez Benjamina Buttona, bohatera sfilmowanej prozy Francisca Scotta Fitzgeralda, który urodził się jako osiemdziesięciolatek i całe życie młodził, wreszcie umierając jako bobas. Zbrzycę poznaliście, gdy szczyła się kilkudziesięciokilometrowym stażem i wieloma meandrami na koncie, a teraz, w środkowym biegu, tryska wigorem nie gorzej od aktorów reklamujących w telewizji maść na stawy. Tu o stawach mowy nie ma, raczej o bystrości nurtu, który czeka atrakcyjny odcinek na mocnym wstecznym przez Rolbik do Kaszuby, a potem isticie górskie przedzieranie się leśnymi gąszczami do Parzyna; szkoda, że nie ma tu łososi, miałyby używanie w wędrówce na tarło. Tymczasem ani się obejrzelście, a słońce zmieniło się w wielkiego grejpfruta i zamiast prażyć, jak to miało w zwyczaju ostatnimi czasy, chowa się za drzewami. I tylko Zbrzycia płynie sobie jak gdyby nigdy nic i spać iść nie zamierza, „gdy szumi, szumi woda i płynie sobie w dal”.



KENDA

4. Pod prąd (II). Doliną Zbrzycy z Widna nad Jezioro Somińskie

Jak to śpiewał Zbigniew Wodecki? Chyba szło w ten deseń: „A my już zanurzeni w rzece dni, pod prąd, poprzez historie, znaki, sny. Bo w nas powrót do źródeł trwa, bezcenna podróż spełnia się”. Skoro zatem ma się spełnić wasza podróż, która z całą pewnością jest bezcenna, w końcu skarbów po drodze nałapaliście więcej niż wąsaty hydraulik z Super Mario Bros., to nic nie wskóracie, zalegając w Widnie nad kromkami świeżo upieczonego chlebka. „Raz, dwa, do roboty! Czas brać kielnię w garść”, odzywa się w was



dziarski tembr, choć to zdaje się już niezupełnie Wodecki, no i nie kielnię powinniście w garść schwycić, lecz kierownicę. No i nie ma, że łapki pieką, nadgarstki wygięte w pałąk i oj, boli, mamó, daleko jeszcze, chcę do domu. Zresztą w domu jesteście od dawna, bo w dolinie Zbrzycy swojsko wam jak na zapiecku, co zdążyliście przetestować organoleptycznie i teraz wypocić macie zamysł w piachach okolicznych dróg. Wróćcie tu niebawem, obiecaliście to kotce, więc znów tak nie beczcie, tylko hop na podjazd i w prawo, szutrowym duktem w stronę Milachowa, gonić źródła czar, pod prąd raz-dwa, raz-dwa, wsteczną turą gnać, że aż rower zbladł, choć to ani Wodecki, ani Reni Jusis, uła-ha, ani nawet nie Blendersi z czarnym ciągnikiem, pojemność dwa czterysta, tylko kolarska twórczość własna.

Kręcicie teraz morenowym grzbiecikiem wzdłuż doliny Zbrzycy, która sobie spokojnie meandruje w wąwozie, nie zwracając uwagi na wasze utykania-co-rusz w wydmowych usypiskach, zaś po paruset metrach odbija ścicachapkę na południe; jej miejsce zajmuje rozległe jezioro Milachowo, wspaniale widoczne z osady o tej samej nazwie, zajmującej wschodni brzeg, u podnóża kolejnego garbu; mieliście trochę pietra na zjeździe piaszczystą rynną, ale prawdziwe fikołki zostawiacie sobie na finiszowe metry w tłumach fanów szalejących niczym na serpentynach pod szczytem Mont Ventoux; dobra, niby to nie Tour de France, ale Tour de Zbrzyca brzmi równie dumnie, zwłaszcza że wycieniowani szosowcy szans najmniejszych by z wami nie mieli na tych wydmach i muldach, odpadliby w przedbiegach, wlokąc się w ostatnim grupetcie. Milachowo wita was urokliwością baśniową, stadkiem krów, co to człowieka nie widziały od półwiecza i teraz gapią się na was jak na malowane wrota, czaplami dybiącymi na zdobycz w płyciznie i zupełną ciszą, jak gdyby świat wziął przerwę na żądanie i walnął się na ławkę rezerwowych z ręcznikiem na głowie. Znowu włącza wam się leniwiec skrobiący pazurami w uszko, znowu posiedzielibyście razem z emerytowanym światem w przybrzeżnych





trawach, ale co to, to nie, naraz zew Zbrzycy dociera do was barytonem Wodeckiego – powrót do źródeł, powrót do źródeł, a nie zbijanie bąków na pastwisku z leniwcem u szyi. Na władzę nie poradzę, więc naprzód, Rolbik czeka.

Rolbik faktycznie czeka, a z Rolbikiem znów Zbrzyca, która najwyraźniej ma się tu nie najgorzej. Położona tuż nad brzegiem rzeki wioska chwali się długą historią, datowaną przynajmniej na wiek XIV, gdy założono tutaj karczmę i młyn; trochę drewnianej zabudowy przetrwało do dziś, choć raczej nie od czasów krzyżackich. W każdym razie przedsiębiorczo-handlową przeszłość bez trudu odnajdziecie w Rolbiku Anno Domini 2023, odwiedzając lokalny sklepik, gdzie w bród energii zamkniętej w bananach, batonach i innych przysmakach. Przy wyjeździe żegna was dożynekowa instalacja, jedna z wielu pomysłowych w okolicy. Macha wam radosna biało-czarna krowa złożona z dwóch bel siana, machają o połowę mniejsze świnki, nie trzy wprawdzie, tylko dwie, trzecia może na chorobowym, a może pluszcze się w rzece. Garb prowadzi was teraz wzdłuż doliny, po prawej ręce macie otwarty widok na nadrzeczne łąki usłane krowami, bocianami, czajkami i ciągnikami, moglibyście tak przez parę kilometrów jechać z głową na bok niczym konie na wojskowej paradzie, gdyby nie koleiny ukryte w piachu: żeby nie dać się wytrząść jak w shakerze, trzeba by co najmniej samobieżnej armatohaubicy typu krab, rosomaka albo leoparda, a nie chuderławego roweru bez amortyzatorów. Chlipcie sobie, chlipcie, wszystko na darmo, kto niby mówił, że taka bezkarna jazda pod prąd to ma się odbywać po rozwalcowanym na płacek asfalcie?

Już prawie zdążyliście się przedzierzgnąć w Piaskowego Dziadka, a tu, w roli wybawienia od mąk, Kaszuba, siostra Rolbika; bo i podobnie jak on skupiona nad Zbrzycą, także z historią młynską i z kajakarzami zajadającymi kanapki z serem w stancy, tylko w miejsce sklepu stoi stuletni dwór, kiedyś własność rodziny Kossak-Główczewskich, obecnie – Lasów Państwowych. Skarbem

Kaszuby jest bez wątpienia potężny drewniany młyn, wyznaczający środek wsi, idealny punkt startowy dla kajakowych przebieżek środkowym biegiem Zbrzycy. Imponująca bryła urozmaicona niewielkimi okienkami nasuwa wam niejasne skojarzenie z rezydencją Gargamela, choć nie uświadczycie tu choćby pół Klakiera; za to zza młyna śledzi was miły piesek, który, owszem, ma problemy z chodzeniem, ale i żwawe spojrzenie, i merdający ogon; dookoła unosi się piaskowy pył, a wy stoicie przed młynem i przed dylematem: czy odbić na północ, piachami wzdłuż Zbrzycy, która wzorem łososi wspina się ostrymi progami przez leśne wądoły aż do Parzyna, czy wolicie na asfaltowym luzaku uwięzić się w stronę Leśna, gdzie zabytki, jezioro i inne atrybuty centralności. To jak, głosujecie?

Dlaczego nie, ale głosu powinno się udzielić raczej oponom, steranym widelcom i mostkom, sztycy podsiodłowej kwiczącej





na wybojach. Jak wiemy z klasyki polskiej kinematografii, są też rozwiązania mniej kontrowersyjne – czerwone i czarne kulki, przepraszam, czarne i białe, albo głosowanie przez aplauz, to znaczy wszyscy głosują, albo też przez podniesienie rąk i ta właśnie metoda uchodzi na najdoskonalszą. Pieski mogą zagłosować metodą szczeknięcia, jedno na tak, dwa na nie. Niestety ten spod młyna gdzieś zniknął i musicie udać się w dalszą trasę na własny rachunek. Wybieracie dukt na Parzyn, będący odcinkiem szlaku imienia Anny Łajming, znanej kaszubskiej prozaiczki pochodzącej z pobliskiego Przymuszewa, i niniejszym fundujecie sobie kilkukilometrową gehennę w piaszczystych pagórkach, choć gehenna gehennie nierówna. Ci na elektrykach toczą bekę z tych na góralach, ci natomiast podszczypują gravelowców; na właścicieli szosówek nie ogląda się nikt, bo utknęli gdzieś po drodze i maszerują z rowerem na ramieniu niczym Grześ przez wieś; choć, Bogiem a prawdą, nie wzgardzilibyście takim Grzesiem lub dwoma, co wynieśliby stąd trochę piachu, ale tacy to zawsze są na wagarach, gdy człowiek w potrzebie. No nic, pomyślcie, co przeżywają wodniacy, którzy raz po raz przenoszą swoje kajaczki na równoległym odcinku Zbrzycy, szczególnie w okolicach osady Parzyn Młyn, gdzie rzeźba terenu chropowata jak w Tatrach: albo głębokie jary z karczami pośrodku, albo przeciwnie, łachy i kamienie. Wyślijcież biedakom ciepłą myśl, na pewno wesprze ich w trudach spływu, a może i oni w rewanżu pomyślą o was, dodając mięśniom waszym wigoru mięśni Tadeja Pogačara, Jonasa Vingegaarda i Katarzyny Niewiadomej do spóły, pchając wasze rowery po wertepach jak po taśmociągu.

Aż wreszcie wybawienie! Po dech zapierających tułaczkach wśród leśnych pustkowi dowlekacie się ostatkiem sił do asfaltowej drogi, która łączy Laskę z Parzynem; okrzykom i westchnieniom ulgi nie ma końca, co wrażliwшему, co delikatniejszej skapnie na owijkę łezka, a może to tylko kropla potu? I nagle nadleci skądś

niczym pszczołka Maja melodii znanej dźwięk: „Czy znasz myśli powrotny bieg, co prowadzi w górę rzek?”, i już przypomnacie sobie o dopiero co wgranym w mózg celu wyprawy, i w te pędy ruszacie przed siebie, byle ku źródłom Zbrzycy, bo uciekną i co będzie? Parzyn ledwie odhaczacie, kierując się albo szlakiem Anny Łajming w stronę Kruszyna, skąd puszczańskimi bezdrożami okrążacie Jezioro Kruszyńskie, pierwsze z dwóch wielkich jezior północnych rubieży powiatu chojnickiego, albo, szok i niedowierzanie, piaszczystą drogą nad Jeziorem Parzyńskim ku Bałłacie i Windorpiowi. Jeśli zdecydujecie się na to drugie rozwiązanie, czeka was nagroda na lotnym finiszu nad Zbrzycą, która przepływa sobie między dwoma wspomnianymi jeziorami: most w Windorpiu to doskonały punkt obserwacyjny zwłaszcza na wcinające się tu obszernym ramieniem Jezioro Kruszyńskie, choć też i nad samą rzeką czekają was ornitologiczne różności. Przy dobrych wiatrach wpadniecie nie tylko na żurawie, lecz również dudki, zimorodki i wilgi zabawiające się w slalomy między okazałymi dębami.

W Windorpiu, w którym na stałe mieszka ledwie kilkanaście osób, możecie poczuć wiew prawdziwie kaszubski; i nie chodzi tu wyłącznie o genezę nazwy tej skromnej osady, nie tylko o reliktową zabudowę, ale i o duch miejsca unoszący się zarówno nad brzegiem jezior, jak i spod waszych kół ryjących piach z gracją mrówkolwa. Jednak z duchami, jak wiadomo, ludziom nie zawsze bywa po drodze, nie dziwota więc, że nad głuchy telefon z Kasprem i całą kompanią różowych słoni przedkładacie czar dalszej jazdy. Na moment zostawiacie Jezioro Kruszyńskie bez opieki, żywiąc nadzieję, że poradzi sobie bez waszych spojrzeń, nie wyschnie zdradziecko ani nie spłynie w niewiadomym kierunku, po czym udajecie się do Przymuszewa, siedziby nadleśnictwa, którego zabudowania czuwają nad pomyślnością wioski niczym cytadela. Mimo że miejscowość nie należy do wielomilionowych metropolii, jest tu co robić; można odwiedzić Izbę Pamięci Anny Łajming,

która jako Anna Trzebiatowska u progu wieku XX przyszła tu na świat, i dla której kontakt z południowymi Kaszubami okazał się na tyle inspirujący, że pisarka poświęciła tym terenom prawie całą twórczość – bogatą, choć rozpoczętą dopiero kilkanaście lat po II wojnie światowej. Teraz macie okazję nie tylko poczytać *Z leśnych pustków* czy *Czterolistną koniczynę*, ale i powąłęsać się szlakami jej imienia, co przyjemne i pożyteczne zarazem, zwłaszcza że w okolicy tereny przepiękne – stare dęby i buki, powabnie sfałdowany teren, no i chudy jak szczapa przesmyk między dwoma potężnymi akwenami, jeziorami Kruszyńskim i Somińskim, choć chudy nie na tyle, by się nie zmieściła niepozorna asfaltówka, w sam raz na wymogi rowerzystów.

Przesmykiem wbijacie się w skromną zabudowę Peplina, któremu chyba całkiem wygodnie między dwoma rozległymi na grubo ponad 400 hektarów jeziorami, które lśnią sobie w południowym



słońcu, wabiąc tabuny ptactwa, które mają się tu równie wygodnie, przynajmniej sądząc po liczbie bocianich gniazd i donośnym trąbieniu żurawi. Obok starych kaszubskich chat dostrzegacie nowe wille, dysponujące prywatnym dostępem do plaż i niczym niezmaczoną sieliskością, której tyle, że można by ją kroić jak marmoladę w bloku i smarować kanapeczki spożywane w leżaku nad brzegiem jednego lub drugiego jeziora. Przy okazji puszczacie przodem łasicę, która uznała za stosowne szmyrznąć z szuwarów wprost na drogę, więc nauczeni tym incydentem już nieco uważniej wijecie się podobnie do żelkowego węża z lukrecją, mającego, jak pamiętacie, tę wdzięczną cechę, że nigdy się nie kończy. Zatrzymujecie się na moment w przysiółku Zielony Dwór, bo tu ostatnia szansa w granicach powiatu chojnickiego, by zobaczyć na własne oczy Zbrzycę.

Z trudem ją rozpoznajcie, bo jakże się zmieniła! Z rwącego potoku wychudła do cienkiej strużki przepływającej między jeziorami;



ktoś mógłby wręcz pomyśleć, że mowa nie o jednej z najpiękniejszych, najbystrzejszych rzek całych południowych Kaszub, a niekłej rzeczulce, co chciałaby się ograniczyć do paru plumknień. No tak, ale cofnęła się w poszukiwaniu źródeł o ponad trzydzieści pięć kilometrów i nieuchronnie zbliża się do końca podróży, czyli jej początku. Za Jeziorami Somińskim i Dywańskim, już na obszarze powiatu bytowskiego, zostaną ze Zbrzycy ledwie ciurkające strumyczki, wybijające ze śródleśnych bagien w okolicach osady Dywan, a tym samym koło się zamknie i „spełni się bezcenna podróż”. Problem w tym, że zaraz za mostem na Zbrzycy kończy się wam powiat. Jeszcze przysiółek Gapowo, dokąd, gdyby było w was ciut więcej rowerowego samozaparcia, dojechalibyście bezdrożami z Kruszyna, no i Skoszewo, czyli szlus. Trasa wiedzie początkowo wzdłuż brzegu Jeziora Somińskiego przez pierwszą część wsi, zwaną Skoszewkiem, by długim podjazdem odbić na zachód, pod las, i wąskim zakosem zjechać do centrum miejscowości, nad samą taflę jeziora, gdzie witają was domki letniskowe, pensjonaty, miejsca do biwakowania i inwentarz żywy, drepczący niespiesznie po jezdni w drodze na sjęstę. Siadacie na ławeczce, którą wysłano w głąb jeziora na drewnianym pomoście, i napaacie się krańcowością.

O poczucie krańcowości tym łatwiej, że Jezioro Somińskie przecięto jednym ruchem długopisu i rozdano dwóm powiatom; znacznie większa część południowa, nad którą teraz się relaksujecie wśród pogwizdywań trzcinniczków i mewiego wrzasku, należy do powiatu chojnickiego, skromniejszą część północną przydzielono powiatowi bytowskiemu. Zdać by się mogło, że takie przecinanie jezior jak płatów łososia niewiele ma wspólnego z logiką, ale przecież raz, że nie jest to odosobniony przypadek, tylko praktyka kążąca dobrami się dzielić, a nie chować je dla siebie i strzec przed bliźnimi pod bronią; dwa, że Zbrzyca, która, jak już się nauczyliście, zasila swoimi wodami jezioro, wypływa z terenów położonych jeszcze o parę kilometrów na północ, zatem

nieładnie byłoby tak całe jezioro przejmować dla siebie, a sąsiadom z góry zostawiać ledwie widoczny potoczek. Trzy wreszcie, że między Skoszewem a Sominami wiodła w II Rzeczypospolitej polsko-niemiecka granica i obecna granica między powiatami odtwarza w dużym stopniu realia sprzed stu lat.

Tymczasem aniście się obejrżeli, prowadząc w głowie te rozważania na tematy administracyjne i napawając się zapachem chwil dawno już minionych, a wieczór przyspieszył niczym Wout van Aert na finiszowych metrach pagórkowatego etapu. Kormorany już dawno obsiadły uschnięte drzewa u wylotu Skoszewa i teraz pociesznie czyszczą pióra, jak gdyby chciały odwrócić uwagę od swoich niecnych sprawek na czele z monopolizowaniem połowu ryb i truciem ekosystemu toksycznym guanem. Rybitwy i mewy opowiadają sobie bajki na dobranoc, a perkozy już dawno naciągnęły na główki koce i zastygły w przybrzeżnych trawach w oczekiwaniu na sen. Zbrzyca też niknie w ciemności, choć jej nurt w wodach jeziora i tak wiedzie żywot utajony, więc czy robi jej to jakąś różnicę? Czy da się wyczuć, skąd przy płynęła, kim jest i dokąd zmierza? Czy płynie z prądem, czy pod prąd? Im ciemniej robi się nad wodą, tym głośniejszy czas nuci wam do ucha melodię: „Czy znasz do swoich wspomnień szyfr? Pełne są tajemnic – idź, wtargnij w ich świat, zdmuchnij kurz. Czy wiesz? Nie da się jutrem żyć”. Wtulacie się w miękkie futerko leniwca i gasicie świeczkę.



5. Wakacje z duchami. Leśno – Brusy – Kosobudy – Czarniż – Odry

Świt nad Jeziorem Somińskim dopada was, akurat gdy toczycie boje z sennymi marami, próbując odeprzeć atak kaszubskiego Smãtka – znanego wam również jako Smętek – który w przystępie złośliwości zaplata wam rowerowy łańcuch w kokardkę, bo wyjęcie klocków z hamulców i odwiniecie owijki uznał za psoty niewystarczająco dotkliwe. Po nagłym przebudzeniu pędzicie na czworakach do rowerów, żeby przekonać się, ile w tym koszmarze prawdy; na szczęście z łańcuchem wszystko w porządku. Szkoda



tylko, że nie pomyśleliście o zamknięciu rowerów na noc i teraz musicie borykać się z upominkami od kolonii mew, które do rana testowały nośność bagażników i kierownic. Z mewami żartów nie ma, ale przede wszystkim nie ma żartów z duchami, bo włązą tam, gdzie nie powinny i za nic wyjść nie chcą. Lubią za to przybierać rozmaite postaci, kryć się w tajemniczych miejscach i zaopatrywać w niewyjaśnione historie tych, co zamiast zracjonalizować sobie codzienność, wołają ją oddać we władanie temu czy innemu wierzeniu. Zresztą duchy duchom nierówne; „duchy, duchy, duszki, wyjadają puch z poduszki”, jak pisał poeta, takie to raczej nie grzeszą złym nastawieniem, są raczej jak puchate kuleczki przed przeobrażeniem w dokazujące gremliny; inna sprawa z czartami różnej maści, one to wołałyby kij wam wsadzić w szprychy i pomajstrować przy siodełku, żebyście tylko przypadkiem nigdzie ze Skoszewa, które właśnie budzi się do życia, nie dojechali.

A dojechać chcecie i to bardzo; w misję wybieracie się zbawczą, niczym borowiaccy pogromcy duchów, którzy zamiast kogośkolwiek gromić, z duchami wołają ponegociować i zarazić je kolarską pasją. Wcale nie lubicie podróżować z duszą na ramieniu, ale z duchem na ramie – o, to co innego, taka symbioza może przynieść wam jakąś korzyść, są duchy, co to z pewnością potrafią rozwałcować drogę jak ciasto na pizzę albo przynajmniej napełnić bidon, gdy krajobraz pustynniejszy i do wód dalej niż do Irkucka. Z duchami lepiej żyć w zgodzie, to wiecie na bank; choć dla kurażu wolicie poskandować sobie za Rayem Parkerem Juniorem hymn etapu wprost z filmu o duchach: „If there's something strange in your neighborhood, who you gonna call?”. Wiadomo, jeśli duchy, to duchy przodków, duchy miejsc, nawet Duch Święty łapią się w wasze plany, a nawet Smãtk we własnej lub obcej osobie. Plan trasy rysuje wam się więc nader klarownie; na mapie zaznaczacie sobie zarówno kamienne kręgi oraz kurhany, jak i kościoły oraz kapliczki; drewnianym świątkom niech potowarzyszą bohaterowie dożynkowych instalacji, proszę bardzo, a nad wszystkim dajcie

czuć w wodnikom, których w krainie rzek i jezior na pęczki, rozpleniły się śmieiej wręcz od kormoranów i wypożyczalni SUP-ów. Skoro taka wasza decyzja – sprzeciwów nie widzę, nie słyszę – to nie znajdziecie dogodniejszego startu niż w Leśnie.

Wszystko ładnie, wszystko pięknie, ale do Leśna musicie się ze Skoszewa jakoś przedostać; na zaprzęg pomocnych strzyg raczej co liczyć nie macie. Znad Jeziora Somińskiego możecie wyruszyć albo wsteczną turą przez Peplin i międzyjeziorny przesmyk, albo wjeżdżając na moment do powiatu bytowskiego, okrążyć jezioro od północy przez Sominy i Łabowo; wybierzcie tę drugą opcję, a w nagrodę już po przekroczeniu granicy ziemia chojnicka wita was orzeźwiająco lotnym finiszem w Zimnej Kawie, bo gdzieżby indziej, oraz zapewnia kontakt z obcą cywilizacją w Lendach. To tutaj przy drodze niczym Cerbery warują mocarne figury z bel siana; złowieszcze sowy i koguty przywdziały maski dobrotliwych ziomeków z sąsiedztwa, zaś hersztem tej zgrai jest ślimak o fałszywym uśmiechu. Tylko czeka, żeby pogmerać wam w przerzutkach. Chcielibyście zatrzymać się tu na dłużej i spróbować swoich sił w mediacji, ale coś wam mówi, że udobruchać tę menażerię byłoby raczej trudnawo. Może uda się w Przymuszewie, gdzie zakrętu strzeże para zaklętych w siano trolli. Ich filuterne uśmieszki i powierchowność grzecznych niedźwiadków na imieninach u wujka bari-bala skrywają nieczne zamiary. Koniecznie zwróćcie uwagę na cały arsenał w zasięgu ich łap: przerośnięte kabaczki rażą bez wątpienia równie skutecznie jak granaty, zaś gigantycznych dyni używano z powodzeniem, gdy brakło kul armatnich, więc i teraz nadadzą się do psocenia. Mijacie je w popłochu, byle szybciej do Leśna, niechże te duchy okażą choć miligram dobrej woli!

Po paru kilometrach bory odpuszczają i triumfalnie wjeżdżacie do Leśna, które nie ma nic wspólnego ze skromnymi osadami w puszczańskich ostępach; tu się naprawdę coś dzieje i to z każdej strony po trochu, niczym, nie przymierzając, w kaszubskim Twin Peaks. Z jednej strony rozlewają się po okolicy spore jeziora



– Leśno Dolne i Leśno Górne – którym dotrzymuje towarzystwa rzeczka Młosina, miły dopływ Zbrzycy; można ją także pokonać kajaczką, bo w końcu czemu nie, skoro i przystań dostępna, i nurt obiecujący przygodę. Z drugiej strony zachęca do odwiedzin skarb architektury sakralnej: drewniany kościółek pod wezwaniem Podwyższenia Krzyża Świętego pochodzący z połowy XVII wieku. Obie te strony spotykają się w centrum wsi. Modrzewiowy budynek, postawiony przez miejscowych cieśli zgodnie z wolą królowej Marii Ludwiki Gonzagi, wznosi się tuż nad brzegiem Leśna Górnego, zachęcając do refleksji na tematy ostateczne: wiecie, wielka woda zawsze nastrojała do transcendencji, niezależnie, czy szło o wielkie potopy, rozstępowanie się mórz czy bliskie spotkania z wielorybami. No i transcendencja szybko zmieniała się w przetrwałnikowy pragmatyzm. Od razu przypomina się wam Lewiatan ze Starego Testamentu, któremu „z paszczy tryska ogień”, a na



dodatek „głębię wód wzburzy jak kocioł, na wrzątek zdoła ją przemienić”. No i znów kłapa, znów nici z socjalizowania się z pierwiastkiem nadprzyrodzonym w stylu akcji „Twój przyjaciel duch”, bo troszkę was straszek obleciał, przynajmniej sami, raczej nie chcielibyście na własnej skórze przekonać się o słuszności biblijnych zapisków, które przestrzegają: „Dla niego żdźbłem maczuga, śmieje się z dzidy leżącej”. Zatem, rada, kochani: zostawcie kolegę w spokoju i nie droczcie się z nim, z poczucia humoru i dystansu do samego siebie to on, zdaje się, wyzbyty.

Czujecie jednak, że coś tu się w sołectwie święci; bo tak – naprzeciwno wysmukłej kapliczki z czerwonej cegły, co gwiazdą by mogła być niejednej drogi krzyżowej, stoi roześmiany leśnik. On też pod mundurem skrywa serce z siana, takież tors i dolne kończyny. Obuwie jednak ma za to jak od Christiana Louboutina. Ma też w zanadrzu kilka muchomorów, które jakby wyrwały się do akcji, i jelenia z drewnianej kłody o sterczących jak lance rogach-kikutkach. Kawałek dalej natomiast dożynkowa para; nieco zaokrągleni od urodzaju, półleżą wśród rabatek jak na szeszlengu. Na szczęście nie zapomnieli o nakryciach głowy, boby dostali udaru w ostro smażącym słońcu. Wszyscy zanoszą się perlismym śmiechem jak zmutowany Piankowy Marynarzyk, co od razu włącza w was ścieżkę dźwiękową: „If there’s something weird and it don’t look good, who you gonna call?”. Dobrze, telefon do przyjaciela zawsze w cenie, choć można łączyć się także przez tablicę Ouija i na seansach spirytystycznych, roaming wychodzi znacznie taniej. Zresztą pogadać z duchami można osobiście: na południe od Leśna, nad uroczym przemykającą się po borze rzeką Niechwaszcz, na cmentarzysku kurhanowym sprzed dwóch tysięcy lat spoczywają wasi praprzodkowie z kultur pomorskiej i wielbarskiej. Odkryto tu kilkadziesiąt grobów, w tym skrzynkowe z, bagatela, V wieku przed Chrystusem i wiele innych miejsc pochówku, częściowo otoczonych kamieniami kręgami. Jakiś czas temu wytyczono tu ścieżkę dydaktyczną,

która umożliwiła zetknięcie się z duchami przodków, a także z porostami, znajdują się tu bowiem liczne stanowiska lichenologiczne. Obserwujecie kilku dryblasów spacerujących między kurhanami z otwartymi dłońmi; wznoszą modły do niesprecyzowanych adresatów, zapewne w poszukiwaniu energii, która swoją drogą przydałaby się i wam, bo program na dziś przygotowaliście bogaty.

Z Leśna kierujecie się na Brusy; na pożegnanie macha wam postrach dożynek, Ursus Brutal z siana, pojemność zdecydowanie większa niż dwa czterysta, z demonami prędkości za kółkiem, co wpadli w ciąg śmiania się, zupełnie jakby byli Jokerami albo dzięciołami zielonymi z ich czarcim chichotem, wcale nie złowróbnym przecież. Tuż za Czapiewicami i Czarnowem, gdzie żurawi na łąkach znacznie więcej niż myszołowów, a krów jeszcze więcej niż żurawi, na widnokręgu pojawiają się dwie wieże ogromnej świątyni – to imponujące założenie bruskiego kościoła pod wezwaniem Wszystkich Świętych, który rzecz jasna odwiedzić, ale najpierw udajecie się do osady Brusy-Jagle, bowiem tu macie coś do załatwienia; tym czymś jest wizyta w Chacie Kaszubskiej, muzeum mieszczącym mnóstwo lokalnych pamiątek; najciekawsze są te przedmioty codziennego użytku, które dziś zatraciły swoje przeznaczenie, lecz zyskały moc symbolu; Krzysztof Pomian powiedziałby o nich, że są teraz semioforami – obiektami, które znaczą więcej niż znaczyły kiedyś, bowiem oprócz aspektu funkcjonalnego dysponują aspektem estetycznym; czegoż tu nie ma – od centryfugi po beczkową masielnicę, od rondelka po żeliwną grapę, wreszcie od pomysłowych łapic na myszy i szczury po przybory do pielęgnacji włosia końskiego. Trochę się boicie, czy aby część z tych obiektów nie ma demonicznych mocy – wolelibyście nie zrobić sobie krzywdy i nie stracić palca, bo kolarz bez palca to jak jogurt bez kultur bakterii.

Jak skądinąd pamiętacie, niektóre przedmioty lubią wybić się na niepodległość i ożyć w najmniej spodziewanych okolicznościach: krzesła rezygnują ze stania na czterech nogach i łamią



się pod wami z trzaskiem, skarpetkom zew wolności podsuwa ucieczkę z kosza na brudną bieliznę, a numerem popisowym wersalek jest zamykanie śpiących w kanapkowym uścisku. Ponieważ dobrze by było uniknąć takich przyjemności życia i dać się przebłągać łapicom oraz grapom, udajecie się kilka kroków dalej, do miejsca, którego strzegą aniołowie, a ci wszak chętnie uchylą wam ochronnego parasola na resztę wyprawy. Aniołowie z drewna pospołu z malowanymi ulami oraz instrumentami muzycznymi obsiedli ogród przed chatą, w której całe życie tworzył kaszubski malarz, rzeźbiarz i konstruktor ludowy Józef Chełmowski, a teraz znajduje się muzeum pełne jego prac; mimo że doczekał się nobilitujących etykiet w stylu „kaszubskiego Picassa” czy „Nikifora Kaszub”, wykształcił indywidualny styl, jednocześnie mocno zanurzony w lokalnych zwyczajach, krajobrazie, tematach i poszukujący inspiracji w filozofii, historii, polityce, do tego często

nawiązujący do tradycyjnej religijności. Stąd tyle u Chełmowskiego świątków – a to grających na piszczałkach, a to na trombitach – i barwnych figur maryjnych o niezwyklej wprost urodzie, ale też obrazów o tematyce religijnej, jak rekordowa, pięćdziesięciopięciometrowa *Apokalipsa* albo szereg malowideł na szkle, w tym przykuwające uwagę kolaże przedstawiające Matkę Boską górującą nad kościołem w Brusach. Nie macie wątpliwości, że ta szczerza, emanująca żywymi kolorami i szlachetnym przekazem twórczość natchnie was łaską i rozgoni wszystkie Småtki na cztery wiatry, więc nie spieszcie się i chłońcie dobrą energię niczym plażowicze jod.

„I ain't afraid of no ghost”, nuczcie sobie, wjeżdżając za czerwonymi znakami Kaszubskiej Marszruty do centrum Brus, „I ain't afraid of no ghost”; racja, kto to widział się lękać i portkami trząść, zwłaszcza, gdy kolarskie spodenki opięte na udach jak jelitko na parówce. Pomocne duchy są z wami i waszymi rowerami – jeśli nawet wjechalibyście w jakieś rozbite butelki, dętki z pewnością pozostałyby nietknięte. Zabudowania Brus przycupnęły wokół ogromnej świątyni niczym słodkie kurczaczki przy kwoce. Miasteczko aż tak nie wyróżniałoby się spośród innych, gdyby nie bryła z czerwonej cegły widoczna z wielu kilometrów, wysyłająca w niebo dwie ostre wieże niczym rakiety do Królestwa Niebieskiego. Neoromański kościół pod wezwaniem Wszystkich Świętych zbudowano w drugiej połowie XIX wieku, a jego imponujące rozmiary (ponad sześćdziesiąt metrów długości, dwadzieścia sześć szerokości i kilkanaście wysokości), jak głosi legenda, nie tyle są rezultatem przeskalowanego projektu architekta Adolfa Dankerta, ile skutkiem pomyłki urzędniczej; podobno projekt przeznaczono dla którejś z pruskich metropolii, a nie dla niewielkiej wsi, jaką były wówczas Brusy. Złośliwe skrzaty jednak i tu wetknęły swoje trzy grosze, darując Kaszubom zaborską jedną z najpotężniejszych budowli sakralnych na całym Pomorzu. Teraz nie sposób się wymknąć spod jej badawczego spojrzenia; a raczej nie byłoby

sposobu, gdyby nie to, że zawisła nad pięcioletnim miasteczkiem i jego piętrowymi kamieniczkami tyłem, od strony absydy, jak gdyby wstyd jej było tak się ostentacyjnie narzucać mieszkańcom. Rzeczywiście, kościół orientowany jest, o paradoksie, na zachód i jego fronton zwraca się ku przedmieściom, tymczasem nad centralnym skrzyżowaniem, z którego dwa kroki na rynek o kształcie wrzeczona, wznosi się to, co zazwyczaj skryte przed ludzkim okiem. Trudno stwierdzić, jak wielkie chody miały chochliki u ówczesnych budowniczych, ale przyznać trzeba, że ich robota nie poszła na marne.

Kręcicie się chwilę po Brusach, które choć prawa miejskie uzyskały dopiero przed kilkoma dekadami, mają tradycję sięgającą wieku XIV, odwiedźcie okolice dworca kolejowego i grzebiecie się w słońcu przeświecającym pomiędzy kamieniczkami, walcząc z hurmą os celujących w wasze jagodzianki nie mniej zaciekle od partyzantów z Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski”, którzy stawiali opór okupantowi hitlerowskiemu; nie to, żeby oskarżać osy o ciążoty totalitarne, ale sami powiedzcie, dlaczego człowiek nie może już sobie zjeść spokojnie drożdżówki? Wyjeżdżając z miasta szosą na Kosobudy, chcielibyście się odwrócić przez ramię i pożegnać kościelne wieże, ale pomni na lekcję Bazyliszka tylko podkręćcie tempo, po chwili meldując się pod kosobudzką pastorówką z czerwonej cegły, gruntownie odrestaurowaną, mieszczącą obecnie przedszkole i tworzącą symbiotyczny związek z neogotyckim kościołem pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa. Świątynię wybudowali ewangelicy mniej więcej w podobnym czasie, gdy powstawał kościół w Brusach, choć ten budynek pod względem skali nie umywa się do swojego sąsiada zza miedzy. Działalności duchów nie dostrzegacie, być może zrobiły sobie sjęstę wśród ładnie zachowanych dziewiętnastowiecznych zabudowań lub na krótkiej smyczy trzymał je święty Jan Nepomucen, pilnujący porządku w pobliskiej kapliczce.

Czerwona trasa Kaszubskiej Marszruty biegnie teraz szosą długiśnym odcinkiem do Czerska, którym, owszem, pojechać moglibyście, bo kilkunastokilometrowego dystansu nie macie prawa się bać, zwłaszcza że cała rodzina duszków dmucha wam w plecy niczym w żagle katamaranu, lecz najpierw skoczycie za zielonymi znakami Marszruty na rozległe łąki nad Niechwaszczą. W tym celu odbijacie w prawo na Kinice, za którymi rozpoczyna się wyboisty trakt przez podmokłą, rozzielenioną równinę. Oto bezpieczna przystań dla setek żurawi, które przyleciały tu zwabione syrenim śpiewem i wrócić do domków jakby trochę się im nie chce; goszczą tu też kruki oraz błotniaki i myszołowy, co wysiadują na gałęziach drzew rosnących na skraju lasu lub kołują nad łąkami niczym w czarowanym kręgu: „Raz do koła, raz do koła”, no i wiadomo, czym to się może skończyć dla otumanionego nornika czy zębieleka w stuporze. Niechwaszcz płynie sobie przez te tereny leniwie, bo spieszyć się nie ma dokąd, skoro tu jej tak dobrze; raz na czas jednak przyspieszy i wtedy ma zwyczaj zalewać całą okolicę. Niełatwo orzec, czy za potop powinniśmy winić jakieś siły nieczyste, czy raczej rozregulowany klimat, fakt jest taki, że trzeba było zamontować na strumieniu przepusty i śluzy, które pomagają okiełznać żywioł; nad jedną ze śluz zatrzymaliście się i patrzycie w dal, bo mało w istocie jest miejsc w podobnym stopniu bezkresnych, o niezakłóconej pustce i bujnej przyrodzie. No to korzystacie z tej zieloności i suniecie bez pośpiechu w stronę następnych punktów programu.

Co prawda miejscowe gnomy próbują pomieszać wam szyki, rozciągając gościńce w nieskończoność, płacząc ich siatki w węzełki, mnożąc florystyczne rezerваты i mostki nad kanałami, ale figę im pokazujecie z makiem, bo zaraz za piaszczystym zagajnikiem czeka już stara wieś Czarniż. A w Czarniżu niczym niezmacony spokój, zapewniany przez lokalnych szamanów, którzy utoczyli z siana totem o fizjonomii Minionka z kukurydzianymi łapkami. Skoro mieszkańcy mogą spać spokojnie, to i wy macie luz. Więc korzystacie z niego i zanurzacie się w bór jak w piaskownicy

i mimo że ani wiaderka, ani łopatki nie wzięliście do sakw, gnacie przed siebie z lekkością Natalii Kaczmarek lub innego Stevena Gardinera. A dokąd dognacie, to już musicie ustalić ze swoją inwencją – możliwości są co najmniej dwie: albo od razu do szosy na Czersk i czerwonego szlaku Marszruty, albo na południe, dzikimi ścieżkami, w stronę Olszyn. Jeśli wejdzie w życie opcja numer dwa, dotrzecie po paru chwilach pedałowania w ostępach do wąziutkiej asfaltówki przecinającej gęsty las. To droga isticie mistrzowska, bo i nawierzchnia jak od linijki, i bezludność oraz bezsamochodowość, i wspaniała przyroda co krok. Kierujecie się na północny wschód, gdzie po krótkim czasie rowerowych radości zrywacie taśmę lotnego finiszu utrzymaną współ przez Scyllę i Charybdę, które potworami są już po udanym odwyku i radują się z wami, klaszcząc i wznosząc aplauzy; ani chybi, to już Chłopowy.



Etap nieubłagane zmierza ku końcowi, który wyznaczycie sobie w Odrach, gdzie nad Wdą rozsiadł się rezerwat Kamienne Kręgi – ośrodek duchowych praktyk Gotów, przestrzeń ze wszech miar niezwykła, pełna tajemnic, pól energii i śródleśnych widm. Żeby się jednak tam dostać i nałapać wigoru, znanego w literaturze pod hasłem *élan vital*, trzeba skupić się na finałowych kilometrach; trochę ich zostało, bo niezależnie, czy wybieriecie dukt przez Hutę, Rudziny i rubieżę powiatu kościerskiego – Osowo, Karsin i Miedzno – czy, zachowując wierność ziemi chojnickiej, włączycie się w ruch szosy w kierunku Czerska, by potem przedrzeć się borami do Mokrego i kluczyć wśród zagubionych w zieleni osad, meta odcinka ledwie majaczy w dali. W końcu jednak dotrzecie do Odrów, najwyżej z niewielką pomocą krasnala Hałabały, co akurat liczył na jakąś fajną aktywność, bo od kiedy przeszedł na emeryturę, rzadko ma okazję





widzieć ludzi w tych stronach, a rowerzystów to już w ogóle brak. Kamienne Kręgi, jak głosi tabliczka, ale i wtórujący jej opiekun tego miejsca, chętnie dzielący się z wami wiedzą muzealniczą, to największe w Polsce i drugie pod względem wielkości w Europie skupisko tego typu, pamiątek po plemionach Gotów i Gepidów. Zamieszkivali oni te tereny w I i II wieku naszej ery. Znajduje się tu dziesięć całych kręgów, dwa częściowo zachowane oraz kilka kurhanów, które są pozostałością cmentarzyska; w obrębie kręgów zaś pochówków nie stwierdzono. Według historyków i archeologów mogły funkcjonować jako miejsca spotkań starszyny plemiennej. Tu oczywiście rozpoczyna się dyskusja, co podczas takich posiedzeń ustalano, czy grano w karty lub bawiono się w głuchy telefon, czy omawiano ostatnie odcinki seriali; sprawa chyba jest grubsza i kto wie, czy czynne tu nie były inne istoty.

Poruszacie się wytyczoną między kręgami ścieżką, próbując wejrzeć w umysły Gotów, którzy z jakichś powodów opuścili na-

gle matkę Skandynawię i przeprawili się na Kaszuby, zakładając na terenie dzisiejszej wsi Odry gród, po czym niewiele później zdecydowali się go porzucić i pójść dalej na zachód. „Znudzi się pewnie” – twierdzi opiekun i pokazuje wam staranność, z jaką obsadzono głazami kręgi. Faktycznie, wygląda to na robotę komsmitów, i to tych bardziej ogarniętych. Cały teren rzeczywiście sprawia niesamowite wrażenie, kurhany obrosły bujnie wrzosami, na kamieniach pojawiły się porosty, których stwierdzono tu ponad osiemdziesiąt gatunków. Jest tu też czakram, do którego pielgrzymują wycieczki psychotroników i radiestetów; wielu miłośników astronomii uważa, że kamienne kręgi miałyby stanowić formę obserwatorium, a do tego emitować subtelną energię o uzdrawiającej mocy. Siadacie w polu energetycznym i próbujecie się przekonać o słuszności tych ambitnych teorii, ba, nawet rowery wprowadziliście, żeby też coś skorzystały.

Po jakimś czasie budzi was opiekun, czas na was, do następnego razu, szerokiej drogi, więc opuszczacie kręgi bez odpowiedzi na nurtujące was pytania; coś was jednak dręczy w duszy, nawet byście przytaknęli frazie klasyka: „Wiedz, że coś się dzieje”. Nie bardzo umiecie stwierdzić, czemu to zawdzięczacie, ale w sumie nie martwicie się z tego powodu. Z łagodnego wzgórza obserwujecie sobie od niechcienia most nad Wdą, stanowiący granicę powiatu, po czym omszałym brzegiem schodzicie nad rzekę, która tuż za rezerwatem rozlewa się na okoliczne łąki. Rozkłada się na trawie i mruczycie w ostatnich promieniach słońca: „If you’re seeing things running through your head, who you gonna call?”, podczas gdy krasnoludki zamykają las na klucz.



6. Na południe. Odry – Czersk – Fojutowo – Wielki Kanał Brdy – Rytel

Wda o poranku prezentuje się równie spektakularnie jak w świetle zachodzącego słońca i choć przepływa jedynie przez północno-wschodni skraj powiatu, robi dobrą robotę. „Gdyby jej tu nie było, należałoby ją wymyślić” – miejscowy rowerzysta, zjadający pod kościołem w Odrach śniadanie, nie ma wątpliwości, która rzeka w okolicy zasługuje na wzmiankę w książce. Za jego poruczeniem podjeżdżamy jeszcze dalej na północ, w stronę Wojtala, gdzie nad Wdą trzyma fason reliktowy młyn. Natomiast gdybyście byli



bardziej ciekawscy i wytrwali w kręceniu pedałami, to po paru set metrach dotarlibyście do, ubezpieczającego rzekę, Kanału Wdy oraz grupy stawów z Białymi Błotami i Niedźwiadkami na czele. To już niemal biegun północny, ci, co tu zawitali, czym prędzej musieli narzucić grube kożuchy i teraz obserwują, jak zza sosen wyłania się lodowa góra, i kolejna, cała Arktyka, niech to dunder świśnie! No cóż, dotknęliście północnych krańców lokalnego świata, nie pozostało wam więc nic innego, jak spłynąć ekspresem w dół mapy, skoroście dotychczas traktowali południe powiatu nieco po macoszemu, są na to dowody w tej książce. Nie zaprzeczajcie, tylko wyskakujcie z palt, pelis i kubraków baranem podbitych, i dalej hop z refrenem w stylu country na ustach: „Jednym słowem robi się paskudnie. Nic tu po mnie. Jadę na południe”.

Ballada Michała „Lonstara” Łuszczyńskiego towarzyszy wam nad Wdą, gdy pozdrawiacie kajakarzy i gdy zagłądacie do rzeki w poszukiwaniu szczeżuj i skójek, zatem o żadnej paskudzie mowy być nie może. Niepozorna asfaltówka o mikrym ruchu biegnie z Odrów wzdłuż rzeki aż do Wiecka, gdzie nad sporawym jeziorem zebrały się cztery rodziny żurawi, każda w innym rozku, że niby nie wchodzą sobie w paradę, że niby każdy zajęty swoimi sprawami, ale wystarczy jeden gwałtowniejszy ruch jednego z kaczorów dowodzących przy brzegu – i już krzyki, już trąbienia, nerwy na całego, pióra lecą dookoła niczym w Moulin Rouge. Za Wieckiem panoramy stają się jeszcze rozleglejsze, łąka kroczy za łąką, pola za polami, strumień goni strumień; meandrując to w prawo, to w lewo, droga dociera nad Niechwaszcz, gdzie udziela wam się atmosfera ostatków. Sto metrów na zachód zaczyna się bowiem powiat stargardzki, z Czarną Wodą i innymi atrakcjami do pozazdrosczenia, choć jeszcze przed granicą można zahaczyć o Łąg z okazałym neogotyckim kościołem pod wezwaniem Narodzenia NMP, no i o sławetną osadę Złe Mięso, gdzie miał siał postrach karczmarz mordujący wędrowców i karmiący stałych

bywalców stekami z ludzkich łopatek, ud i lędźwi. Jakoś dziwnie przypomina wam to fabułę głośnych *Delikatesów* Jean-Pierre'a Jeuneta, brakuje tylko eksklauna w funkcji dozorca, podziemnych rewolucjonistów gnieźdzących się w kanałach i dziadka hodującego w piwnicy ślimaki.

Możecie też wybrać wariant skromniejszy i przejechać nad Niechwaszczą w okolice Gotelpia, gdzie porwie was szosa na Czersk. Ta sprawia wrażenie kompletnie wymarłej, zupełnie jak w czasach niedawnej epidemii, kiedy za wyjście na spacer do lasu można było trafić do paki, a policjanci czaili się na zdradzieckich rowerzystów za drzewami, aby tylko wlepić im mandat za nieobywatelską postawę. Wygląda to trochę tak, jakby po wyjeździe Gotów wszystko nagle stanęło i czekało na nowych gości, najlepiej takich, którzy przybędą z planem zagospodarowania przestrzennego i zaprowadzą nowe porządki. I nawet nie chodzi o to, że po obu stronach wijącej się między morenowymi wzgórzami drogi pełno ruin PGR-ów z opuszczonymi chlewniami i oborami, lecz o poczucie spowolnionego tempa, które na dobre wrosło w pejzaż Kamionki czy Łubnej i trudno im zniemka przyspieszyć kroku i zaszaleć jak panna na wydaniu. Nic temu nie zaradzicie, zwłaszcza teraz, gdy pędzicie na złamanie karku dopingowani przez gospodarskie psy, którym najwyraźniej płaci się od każdego szczeku. Mkniecie na zabój i Czersk, dotychczas majaczący w oddali niczym chatka na kurzej stopce, nagle wyraża przed wami w blasku nieomal metropolitalnym, co wcale nie jest grubą przesadą, chyba że to jednak omamy, bo słońce przygrzało i wszystko faluje wam przed oczami. E, żadne tam omamy. Jako drugi co do wielkości i rangi ośrodek w powiecie Czersk musi spełniać swoją funkcję na tyle dostojnie, by nie siać wśród mieszkańców wątpliwości co do swojego statusu; a status podkreślono linią lotnego finiszu, którą przecięliście, zanim ktokolwiek zdążył się spostrzec, więc z pewnym opóźnieniem tłumy mdleją z emocji, fotoreporterzy pchają się na wyprzedki, podczas

gdy wam w głowie tylko butelka zimnej wody i odrobina cienia. Południe ma swoje prawa, rzecz prosta, ale rowerzystom też się coś należy.

Do Czerska dotarliście od strony dworca kolejowego, wokół którego rozgłosiło się osiedle domów pracowniczych. Cały zespół pochodzących z początku XX wieku budynków robi przyjemne wrażenie, jakby faktycznie zostały skrojone na ludzką miarę, a nie tylko po to, żeby wyrobić ten czy inny plan. Kościem centrum miasta jest zaś szeroka i schludna ulica Tadeusza Kościuszki, przy której mieszczą się ważne urzędy, w tym modernistyczny ratusz sprzed stu lat, szkoły i restauracje z podobnego okresu, a także wyniosły kościół pod wezwaniem św. Marii Magdaleny, górujący nad miastem za pośrednictwem czterdziestometrowej wieży. Potężna bryła kościoła oraz budynek plebanii tworzą wraz z okazałymi kamienicami w pobliżu dogodny



mikroklimat; od razu czujecie się jak na promenadzie, zwłaszcza że w samo południe słońce nie ma zamiaru odstąpić od operowania i włączylibyście chętnie tryb hamaczka. Wałęsacie się po uliczkach, a to szukając kolejnych perełek modernizmu, a to zażywając nieco chłodu w parkowych alejkach – skoro parków w Czersku niemało, to korzystacie z nich do woli – zapuszczacie się również w wąwozy nad Czerską Strugą, ale ich stali mieszkańcy, krzyżówki i piźmaki, nie są znani z sąsiedzkiej wyrozumiałości i sykiem wyganiają was na górę. Rozsiadacie się więc na głównym placu miasta, schowanym między piętrowymi kamieniczkami, pawilonami handlowymi i inną drobną, dość eklektyczną zabudową. Tu rej wodzą bujany żółw w fuksjowym meloniku i dorodny lód w funkcji naganiacza, ale sami powiedzcie, nie zafundowaliście sobie aby przyjemnego orzeźwienia w ten czas kanikuły? Zafundowali, potakujecie bez wahania, by i w trymiga



oddać się rozkoszom podniebienia, w Czernsku czując się już jak u siebie na dzielni.

Współczujecie narratorowi rzewnej pieśni, któremu bez przerwy coś się przydarza. „Moja firma zrujnowana, wspólnik zabrał zysk, ulubiona restauracja zeszła na psy. Z tego braku pożywienia i uczucia człowiek tylko chudnie. Nic tu po mnie. Jadę na południe” – zawodzi ochrypłym głosem, a wam wrodzona empatia nie pozwala na zbyt długie delectowanie się błogostanem, więc w geście solidarności wskakujecie na rower i pędzicie ku południowej granicy powiatu. Niebiesko znakowany fragment Marszruty wyprowadza was do Żłotowa – jednego z wielu Żłotów w okolicy, właściwie to cały podczerski obwarzanek przekształcił się w Żłotowo i trudno przed Żłotowem się ukryć. Trudno je ominąć także w śródleśnej drodze na Ostrowite. Tę nazwę jezioro o letniskowym nachyleniu dzieli z samym letniskiem, przywołującym na myśl zadbane osiedle fińskich domków albo i wioskę Smerfów. Z jednej strony zabudowań jest sporo, szczególnie przywarły do wschodniego brzegu jeziora i ani myślą się cofnąć, z drugiej zaś nie odebrało to miejscowości kameralnego charakteru leśnej osady. Na rozleglejszej, niż moglibyście sobie wyobrażać, plaży grzeją się, jak to się w takich razach zdarza, plażowicze, siatkarze pykają w siatkówkę, spacerują po piasku spacerowiczki, a pływaków widać w oddali, jak pływają sobie tam i z powrotem weseli jak uchatki. I tylko wy nie macie co ze sobą zrobić, bo piachów doświadczyliście w Borach aż nadto i teraz byście lubili co najwyżej klapnąć sobie na molo, a dla takich to nawet osobnej kategorii nie przewidziano.

Więc trochę kłapiecie, trochę oglądacie sobie żeglarzy na żaglówkach, a trochę układacie w głowie plan na kolejne kilometry, które nieco zmodyfikują wasze założenia, jako że za Ostrowitem i osadą Kameron powiat chojnicki ustępuje miejsca powiatowi tucholskiemu, co jednocześnie oznacza, że borowiacka wioska Krąg i położone nad nią jeziora – Długie i Okrągłe – to już





całkiem inne województwo, nie pomorskie, a kujawsko-pomorskie, a to granica o ciężarze gatunkowym wielkim jak owoc durianu. Przykaz, żeby pchać się wprost na południe, przynajmniej na czas jakiś traci w ten sposób rację bytu. Najpierw trzeba odbić na zachód, gęstym lasem o wydmowym podłożu, a po minięciu przysiółków porozrzucanych wśród polan dotrzeć do szosy łączącej Czersk z Tucholą. Po jej przecięciu nad jeziorem Sarcze dotrzecie do szczytującej się pięknymi cisami Twarożnicy, a gruntowa droga wyprowadzi was na czas jakiś z powiatu – chwila na otarcie łezki w zadumie nad kondycją ludzką i kondycją kolarską na spółę – na południowy zachód, w stronę słynnego Fojutowa. Słynnego, bo zapewniającego wiele atrakcji rekreacyjno-gastronomicznych, lecz jedynie przylegającego do powiatu chojnickiego. Choć, prawdę powiedziawszy, najbardziej intrygujący skarb Fojutowa odnajdziecie w pewnym oddaleniu od centrum wsi, i właśnie ta odległość skutkuje możliwością przekroczenia granicy województw, powiatów i gmin, co nadaje skarbowi status pograniczny: w zależności od pogody albo wciąga się go do kujawsko-pomorskiego, albo pozostawia pomorskiemu. Dobrze, że obowiązują was przywileje uczestnictwa w strefie Schengen, bo z pewnością postawiono by tu całą gamę komór celnych i innych groźnych bunkrów, żeby tylko skarb przechwycić i nie oddać.

A to skarb nie byle jaki. Macie rzadką okazję skonfrontowania się z cudem architektury hydrotechnicznej z połowy XIX wieku. Oparty na antycznych wzorach akwedukt umożliwia bezkolizyjne krzyżowanie się dwóch cieków – Czerskiej Strugi i Wielkiego Kanału Brdy. Budowlę zaplanowano dwupoziomowo: żeby koryto powstającego wówczas dla nawadniania pobliskich łąk i pojenia koni Kanału mogło bez przeszkód utorować sobie drogę na wschód, należało w jakikolwiek sposób ominąć wody południkowo na tym odcinku płynącej Czerskiej Strugi. W związku z tym zrealizowano pomysł genialny w swej prostocie, choć brawurowy pod względem inżynierskiej inwencji, i wybudowano siedemdziesięciometrowy,



do dziś najdłuższy na terenach Polski, tunel, którym Struga mogła przedostać się nie niepokojona na drugą stronę Kanału dziewięć metrów poniżej jego lustra wody. Zadbano również o najdrobniejsze detale, ozdabiając akwedukt misternymi portalami i układając cegły w taki sposób, by przetrwały długie lata. Widzieliście takie rozwiązania na kolei – przykładem układ dworca w Kępnie – i w centrach miast, jak choćby przy rynku w Nowej Rudzie. Ale żeby udało się to z materią ożywioną? Kapelusze z głów, jak mawiają jedni, szacun, respekt i gratki, jak odpowiadają drudzy.

Skoroście już zapoznali się z Wielkim Kanałem Brdy, nic prostszego, jak popedałować ledwie widoczną leśną ścieżyną w mchach, która prowadzi jego południowym brzegiem aż w okolice leśniczówki Uboga. To trasa rzadkiej urody, oferująca z jednej strony kontakt z niezmaconą ludzkim działaniem przyrodą, z drugiej – rowerowe bonusy w postaci jazdy przełajowej, skoków nad powalonymi





pniami i przedzierania się przez wybujałe krzaczyska. Co jakiś czas przygotowano tu dla was niespodzianki, a to desant łabędzi krzykliwych, a to kolonię bobrów przekształcających spokojną toń Wielkiego Kanału w Wielkie Rozlewisko, a to trop ogromnego drapieżnika w stylu tyranozaura; czyli nieco adrenaliny też dostaliście w pakiecie; jak dają, to bierzcie. W każdym razie macie tu radochę jak dzik w żołądźkach i niespieszno wam do zaliczania kolejnych punktów tego etapu, wolelibyście zanurzyć się w las i pojeździć bez celu po mięciutkim jak futerko królika runie. Korzystacie ile wlezie z gościnności tej części Borów Tucholskich, dzięki której niczego wam nie brak; chcieliście spokój, pustość i ciszę? Macie. Nieujarzmioną przyrodę? Ależ proszę bardzo. Trasy, które bez trudu da się zaadaptować do potrzeb roweru? Na pewniaka, od gravela po e-bike'a. Nic, tylko spędzać czas na siodelku ku zgryzocie tych, co woleliby was widzieć też w innym wydaniu niż obleczonych w lajkrowy kostiumik.



Cóż, można by tu zostać na stałe, zwłaszcza że po wyjeździe na asfaltową drogę prowadzącą do Rytla orientujecie się, że niełatwo o miejsce piękniejsze: po prawej ręce wiernie wam towarzyszący Wielki Kanał Brdy, po lewej za to Brda we własnej osobie, jeśli można nadużyć patosu, choć w sumie nie ma po co, antropocentryczne zalegania należałoby zwalczyć, a nie wysługiwać się nimi. A do tego tendencje do natchnień – okej, czasami dusza aż pęcznieje na widok tak uroczy, jak ten z nadrzecznej skarpy na dolinę Brdy, ale zamiast wybuchać rześzystym płaczem w obliczu piękna natury – choć i takich, co szlochali na pewne szczególne widoki, jak wiemy z filmów, nie brakowało – lepiej zjechać wąską przecinką na sam brzeg i tam posiedzieć w spokoju, pogapić się przy napoju na kajakarzy rozkładających nieopodal namioty, policzyć przelatujące żurawie, wreszcie dać rzece sobie spokojnie popływać, żeby nie musiała choć na moment być muzą wieszczów, tylko istotnym elementem ekosystemu, o który warto by zadbać, dopóki jeszcze jest co zbierać. Na razie zbiera się głównie drewno z lasu i wywozi z kraju, bo ponoć tak głosi polska racja stanu, a wam się marzy, żeby za parę lat coś z tych borów – i Borów – jeszcze zostało.

Czas i miejsce na dyskusję z samymi sobą znaleźliście sobie zresztą nieprzypadkowe. To właśnie tu, w Rytlu i okolicach, szczególnie na północ od miejscowości, katastrofalny huragan sprzed paru lat poczynił najwięcej szkód. Jutro przekonacie się na własne oczy o tym, co potrafią siły przyrody, lecz teraz, zanim na dobre złączą się wody Brda i jej kanał, zrobicie sobie jeszcze pętelkę na rozjeżdżenie. Wprawdzie Lonstar stara się zarazić was nostalgią, nucąc wam do ucha: „Zamiast jasnej perspektywy widzę dno ciemnej studni. Nic tu po mnie. Jadę na południe”, ale ulegacie tylko drugiej sugestii i wpadacie jeszcze do Lutomia i Zapędowa, gdzie w świetle zachodzącego słońca pasą się żurawie. Z letniskową wsią o nazwie, dla niepoznaki, Brda, która rozciąga się na drugim brzegu rzeki, tym razem wymieniacie tylko spojrzenia; kiedyś tu i do pobliskiego Żukowa jeszcze wrócicie,

a tymczasem zawróciwszy w kierunku północnym, gnać może nie całkiem jak w ciemnej studni, lecz w zaawansowanej szarówce, w stronę Rytle, gdzie nad Brdą rozbijecie sobie obóz.

Po paru chwilach znad Wielkiego Kanału Brdy wyłania się biała sylwetka neobarokowego kościoła pod wezwaniem NMP Królowej Różańca Świętego, którego historia sięga pierwszej dekady XX wieku. Z tego czasu zachowały się we wsi także budynki szkoły i poczty. Szkoda, że nie przetrwały do dzisiaj zabytki długoletniego współistnienia kulturowego i religijnego, w tym kościół ewangelicki, rozebrany na części i wyrzucony z pamięci. Brda i jej kanał przepływające wąwozami przez Ryteł dzielą go na kilka odseparowanych od siebie części. W najbardziej oddalonej mieści się tartak i zabudowania nadleśnictwa, bliżej centrum położone są skwery i boisko lokalnego klubu. Oczywiście, w wielu miejscach widać pokłosie feralnej nawałnicy z 2017 roku, która zniszczyła około dziewięciu tysięcy hektarów drzewostanu, ale i wiele domów, gospodarstw i budynków użyteczności publicznej. Można też jednak zobaczyć, w jak szybkim tempie Ryteł, przecież dostatek, ważna miejscowość o długiej borowiackiej tradycji, podnosi się ze strat i z roku na rok zapomina o tamtej tragedii.

Robicie sobie rundkę przez wąskie uliczki starej części wsi, towarzysząc moszczącym się w swoich legowiskach zwierzętom, światłom, które jak na zawołanie zapalają się w kolejnych domkach, lokalnej dzieciarni na BMX-ach i hulajnogach, ganiającej się po deptaku poprowadzonym przesmykiem między Brdą i Wielkim Kanałem. Śmiechu wszędzie pełno jak na filmach Barei, życie toczy się normalnym rytmem i wcale nikt się nie chce przyłączać do fatalizmu rozbrzmiewającej wam w uszach melodii: „Starzy ludzie powiadają, że nadchodzi mróz. Lekarz mówi mi, że mój koniec bliski już”. Gdzie tam mróz, skoro od upałów to się nie możecie opędzić. Schodźcie z rowerami na brzeg, nad Brdą już ciemno. Są tylko ważki, które najwyraźniej lubią robić wszystko na ostatnią chwilę.

7. Tropem głuszca. Rytel – Myłof – Kłosnowo – Park Narodowy „Bory Tucholskie” – Drzewicz – Czernica – Męcikał – Rytel

Siedzicie sobie nad Brdą w Rytle, bo poranek leniwy i jakbyście wcale nie pamiętali, że czeka was dziś trasa monument, trasa klasyk, trasa hit, ukoronowanie waszych jazd po okolicy, a wszystko to zgodnie z wyśpiewaną przez Vanessę Williams zasadą „you’d go and save the best for last”. No tak, zostawianie tego, co najlepsze, na koniec ma niewątpliwie swoje zalety; nie bez przyczyny deserem się rozkoszujecie po jak najszybszym wsunięciu poprzednich dań. Skoro jednak wszystkie dotychczasowe trasy były pyszne jak



najlepsze smakołyki, dzisiajszą porównać możecie co najwyżej do potrójnej porcji lodów w słodkim waflu. I ma to sens, bo etap składa się trzech części – czy warstw lub gałek, jak tam wolicie. Najpierw da wam przyjemność z pokręcenia się wzdłuż Brdy, która spina swój bieg z Wielkim Kanałem i za zaporą wodną rozlana jest w kolejne jeziora. Później zaś wjedziecie głębiej w las do skarbu nad skarbami, czyli Parku Narodowego „Bory Tucholskie”, niczym do rowerowego rajy, w którym Świętemu Mikołajowi najwyraźniej pękła torba z prezentami. I domkniecie pętli trasą przez wzgórza, znów wzdłuż Brdy, teraz już zgodnie z jej nurtem. Zdarzą wam się co prawda chwile zwątpienia w sektorach piaszczystych niczym Sahara, lecz nic to w porównaniu z kaskadą doznań, jakie staną się waszym udziałem wśród arkadyjskich ustroni, uroczysk przecudnych; dość powiedzieć, że będzie całkiem w dechę. Chyba nikt nie kwestionuje tego, że



tereny parkowe dostarczą wam niezapomnianych wrażeń i między innymi dlatego stanowią materiał na zupełnie osobną książkę, na zupełnie osobny tour z zupełnie osobnym programem. Teraz to najwyżej liźniecie coś, co domagałoby się pełnej uwagi; to tak jakby jedynie skosztować tych dwugałkowych lodów, a nie solennie skonsumować całość i jeszcze otrzeć usta serwetką.

A zatem Brda i Park, zwany pieszczotliwie PNBT, jawią się o poranku jako wyzwanie dnia, ale i główna nagroda za te wszystkie lotne finisze, które udało się wam pokonać w tempie galopującej inflacji. No ale wciąż nie wsiedliście na rower, wciąż bawicie w Rytlu, teraz nawet oglądając obrazki na ekranie: proszę, głuszec. Otóż na rycinie sporządzonej w połowie XVIII wieku przez Johanna Daniela Meyera samiec głuszca nie prezentuje się zbyt okazale. Wygląda trochę jak spłoszony kurak, któremu udało się uciec z niewoli i teraz próbuje się zorientować, co go czeka w świecie nowych możliwości. A prawdę powiedziawszy, z tych możliwości to głuszcom nie zawsze było łatwo coś uszczknąć. Choć akurat na terenie Polski to głuszcom żyło się całkiem nieźle, pojawiały się i w górach, i na nizinach, i w lasach iglastych, i mieszanych. Teraz ich populacja mocno się zredukowała, zaś sam ptak uchodzi za gościa nieprzystępnego, co unika was jak może, najchętniej toby was potraktował masywnym dziobem i cześć pieśni. W godle PNBT, któremu przecież nie zbywa na dzikich zwierzętach, głuszec się jednak ostał, ba, pręży się na drzewie jak medalista olimpijski – i to mimo że w borach już go nie uświadczycie. Ostatniego samca zastrzelono ponoć przed półwieczem, no a ten, co w godle, to całkiem ożywiony, więc jak to jest?

Jest tak, że głuszca teraz już nie ma, ale przez wieki był, więc niech ten medalista przypomina wam o kruchości losu, błędach popełnionych przez ludzkość w ogólności i w lokalnym szczególe, pokorze wobec przemijania i innych słusznych sprawach, o których w natłoku codziennych obowiązków łatwo zapomnieć. A skoro w Parku Narodowym głuszec pełni obecnie funkcję symbolu,

to i wy go weźcie za symbol dzisiejszego etapu. Nawet trzy głuszce weźcie, skoro etap trójdzielny jak cannolo z ricottą; z jednej strony obsypane grudkami czekolady, z drugiej pokruszonymi pistacjami, a pośrodku gruba rura z kremem. Niech te głuszce nie wiodą was na pokuszenie, lecz wskazują skarby za skarbami, nikt w końcu nie wie od nich lepiej, gdzie znaleźć takie ostępy, że mózg staje, a mucha nie siada. Zresztą inne ptaki, mniej symboliczne może, za to dobitniej zmaterializowane, także przyłączają się do tych międzygatunkowych porozumień i rajd wasz uczynią rozspiewanym jeszcze głośniej, no bo przecież ile razy można odtwarzać sobie prawdy w stylu „I see the passion in your eyes, sometimes it's all a big surprise”. Nie wiśmy Vanessy, jeśli na własną prośbę dążymy do tego, żeby nieustannie dziobać się bodźcami, zamiast posiedzieć na trawie w Rytle i nie myśleć o niczym.

Parę chwil później wciąż o niczym nie myślicie, ale niemyślenie skuteczniacie już w trasie rowerowej wzdłuż Brdy. Droga z eleganckiego deptaka zmienia się stopniowo w drogę szutrową, piaszczysto-ziemny gościniec, a potem, za osadą Konigort, w ścieżynę-widmo, która doprowadza do ogródków działkowych, po czym zanika w gęstwinie krzewów i traw; o dziwo z kęp paproci, które obsiadły brzegi Wielkiego Kanału, wystaje znak drogowy powiadamiający o końcu strefy ruchu. W porządku, odnotowaliście, choć dziwi was nieco, że znaki stawia się teraz już nawet pośrodku mchów i turzyc, ale to chyba naturalna kolej rzeczy, skoro przy ulicach znak na znaku i znakiem pogania. Tymczasem dróżka zwęża się tak mocno, jakby miała zamiar wpełznąć do mysiej nory. Teraz Brda i jej kanał płyną w odległości dosłownie kilku, może kilkunastu metrów od siebie, a wy przedzieracie się chaszczami pośrodku koryt. W pewnym momencie ścieżka dociera do bramy należącej do zabudowań przy zaporze wodnej w Mylofie, obecnie w nomenklaturze zwanym po prostu Zaporą, natomiast w świadomości mieszkańców i turystów wciąż będącym Mylofem. Dalej ani rusz, chyba że wpływ, to droga wolna.



Miejsce jest szczególnej piękności, zewsząd otaczają was wody – starorzecze Brdy w wąwozie, w którym szaleją ślepowrony i czaple, wznosząc się wam nad głowami i opadając z głośnym plasknięciem, oraz wody kanału, spokojniejsze, czekające na swoją kolej, jakby pomne kataklizmu z zeszłej dekady, z ekipą łabędzi i zimorodkiem, który przeleciał nad taflą wody jak kolorowa strzała.

Z tą drogą to jak z tym głuszcem, który niby miał być wsparciem, a wywiódł was w maliny i jeżyny. Nie pozostaje wam nic innego, jak wycofać się do Konigortu, a zatem chaszczce, paprocie, sterczący z nich znak, ogródki działkowe i most na kanale, którym wydostajecie się na pustynny pagórek jak na erg z piaskiem nawianym z każdej strony. Do Mylofu wkraczacie tym razem na legalu, od strony osiedla pracowników zapory i elektrowni wodnej. Sama zapora, jedyna w Polsce zapora schodkowa, robi duże wrażenie. Po jednej stronie spokojne rozlewisko





Brdy, raj dla ptactwa i ziemno-wodnego ssactwa, po drugiej rozdział na Wielki Kanał i płynące dwanaście metrów niżej w urwistym wądole starorzecze. Czegóż to niemiecka inżynieria z połowy XIX wieku nie potrafiła, myślicie, choć przecież bez żadnych aluzji do tego, co współcześnie w inżynierii najistotniejsze, no i bez nie stosownych porównań, że starego porządku nie ma już, tak jak już nie ma głuszców, z tym że głuszcom pozostała obecność jedynie w godłach i wspomnieniach starszego pokolenia, a dawni mieszkańcy pozostawili po sobie pamiątki trwalsze, bo w materii.

W Mylofie spotykacie Kaszubską Marszrutę i korzystacie z jej oferty, wioząc się za zielonymi znakami do Kłodawki, zaś potem wybieracie lokalną borową ścieżkę w stronę Klosnowa; Park Narodowy zbliża się wielkimi krokami, tak byście chcieli powiedzieć, gdyby nie to, że drzewa i jeziora zazwyczaj nie chodzą, choć zdarzały się od tego odstępstwa: chyba pamiętacie Entów



i ich wędrówki – ci to kroki robili naprawdę spore. Po dotarciu do Klosnowa, osady malowniczo położonej na śródleśnej polanie, warto zajrzeć do okazałego wielokondygnacyjnego budynku wyłuszczeniarni nasion, który Niemcy wybudowali przed I wojną światową jako największy tego typu obiekt w Europie – i nawet gdybyście nie mieli o tym zielonego pojęcia, to właśnie takie sprawia wrażenie. Do dziś zachowała się ponadto duża część wyposażenia, w tym oryginalne przyrządy służące do wyłuszczenia nasion z szyszek drzew leśnych – skądinąd ciekawe, czy zatrudniano przy tej pracy głuszce, znane z zamięłowania do igłaków; w budynku urządzono również Izbę Edukacyjną. Z Klosnowa ruszacie na północ gruntową drogą przy torach kolejowych, po których od niedawna znowu hulają aż miło pociągi w stronę Kościerzyny, a nawet Gdańska. Po chwili wożenia się po szutrach wita was niepozorna brama grająca rolę zabytkowej szafy w *Opowieściach z Narnii*. Przemykacie na drugą stronę i nowy świat stoi przed wami otworem.

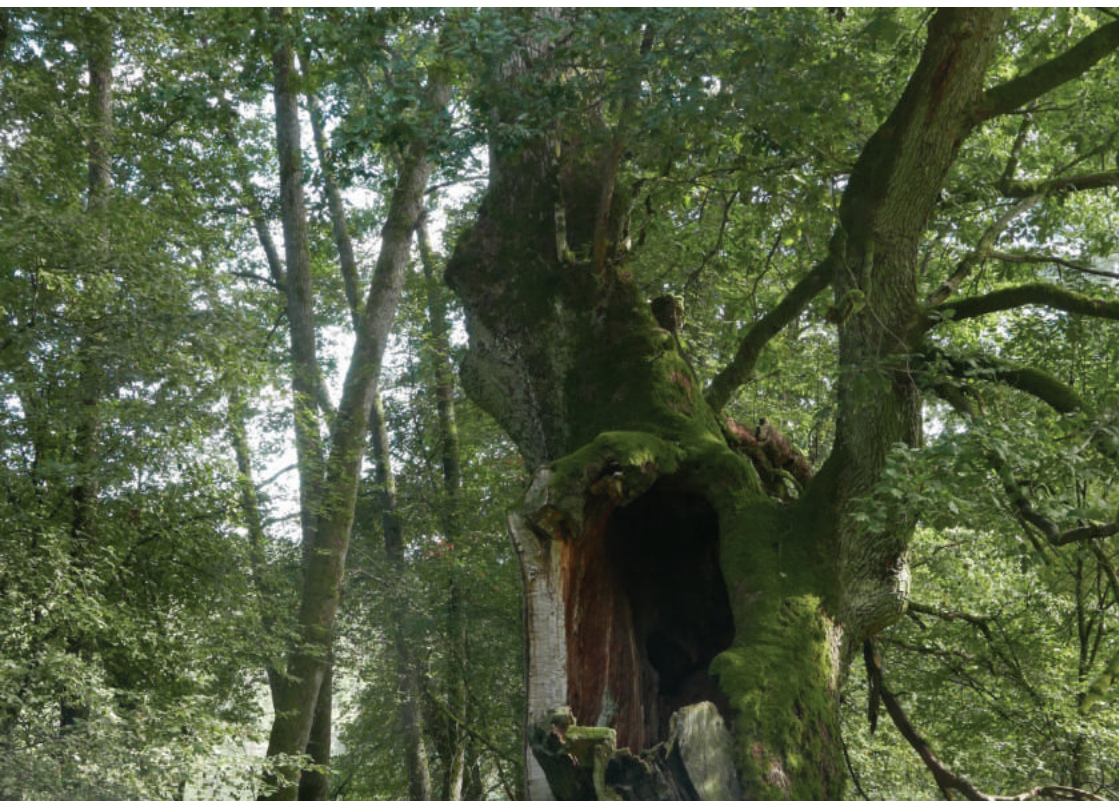
Park Narodowy „Bory Tucholskie” można wyobrazić sobie jako labirynt wąskich ścieżek rozsianych wśród licznych jezior, bagien i torfowisk. Gęste bory sosnowe gdzieś ustępują miejsca rozległym łąkom i wrzosowiskom, metr po metrze wciągając was w wir atrakcji. Dlatego zbrodnią niesłychaną byłoby przejechanie sobie parkowych traktów ot tak, bezrefleksyjnie, byle szybciej zaliczyć program obowiązkowy – podpowiadają wam głuszce na ucho, naprzemiennie klapiąc i korkując; repertuar zresztą mają znacznie szerszy, choć, jak pamiętacie, gdybyście chcieli coś im na to dictum odpowiedzieć, to może się zdarzyć, że nic nie usłyszają, bo akurat będą zajęte performowaniem szału uniesień. Wasz szal uniesień czeka z pewnością podczas powolnego, koło za kołem, toczenia się po Parku, zakreślania kręgów i domykania pętli po szlakach rowerowych, pieszych i dydaktycznych. Jeśli zaczniecie od wschodnich rubieży, pamiętajcie o odwiedzeniu łąk rozciągających się tuż przy mikroosadzie

Józefowo. Może spotkacie tu łosia, może jelenia, może dostrzeżecie gdzieś bielika, a przynajmniej błotniaka, takie tu bogactwo. Tym bardziej, że tuż za Łąkami Józefowskimi widać już brzeg największego i najgłębszego z jezior w PNBT.

Ostrowite objęte jest rezerwatem i objechać je można wyłącznie od wschodu, przez byłą osadę Dębowa Góra, z której zachowały się właściwie tylko rozstawione przy leśnej ścieżce tablice z nazwą. Trasa jest przepiękna, a samo jezioro nastraja do przemyśleń, zwłaszcza gdy zewsząd dochodzi żurawi klangor. Zielony szlak pieszy, którym niespiesznie się poruszacie, w pewnym momencie dociera na brzeg, skąd roztacza się niezrównany widok. Trudno się dziwić, że miejsce to często wybierają ci, którzy tropem głuszca chcieliby się w Borach zgubić i nie dać odnaleźć, choć, jak uczy historia, konsekwencje takich wyborów bywają niewesołe. Z Ostrowitego wypływa Struga Siedmiu Jezior, niewielki ruczaj łączący ze sobą kolejne jeziora, w tym Zielone, które nieco oddalone od szlaku, i Jeleń, przy którym szlak rozszerza się w piaszczysto-gruntowy trakt, wiodący przy samym brzegu jeziora. Warunki są idealne do jazdy: trochę podskakiwania na muldach i wystających ze skarpy sosnowych korzeniach, trochę rzutów oka na opromienioną słońcem tafelę Jelenia, trochę podziwiania, jak gęsty i spokojny potrafi być tu bór.

Po paru chwilach Struga Siedmiu Jezior przeciska się do kameralnych stawów Bełczak i Główka, zaś wy możecie odstawić rowery i wybrać się na spacer brzegiem lobeliowego jeziora Nierzybno, gdzie z drewnianych pomostów otwierają się widoki na bujną roślinność torfowiskową. Niewiele dalej, przy głównej trasie rowerowej z północy na południe, znajdują się dwa inne bliźniacze jeziora, Wielkie Gacno i Małe Gacno, które warto zobaczyć, gdy kwitnie tu lobelia, nadając im powabu śnieżnego kobierca. Nad większym z nich urządzono dogodny punkt widokowy, który umożliwia kontakt z parą łabędzi krzykliwych, stroszących pióra w moczarach, i komfortowe przejście w tryb

leżaczkowy. Po zasłużonym odpoczynku wracacie w trasę ze zdwojoną energią. Tym razem krążycie nad jeziorem Płesno, zajmującym okazałych rozmiarów rynnę u podnóża zalesionego pagóra, którym prowadzi piaszczysty dukt; skarpa nad jeziorem jest świetnym miejscem do obserwacji okolic, korzystacie więc z tej sposobności i nie pędzicie wydmowym żłebem na łapu-capu; wolicie powłóczyć się i ponapawać ciszą. Docieracie w końcu do eksosa-
dy Piła Młyn, stanowiącej centrum sieci szlaków turystycznych. Pośrodku leśnej polanki niczym święty starzec stoi sześciusetletni dąb szypułkowy Bartuś, bacznie obserwujący spacerowiczów zaferowanych drugim śniadaniem. Ten to na bank był świadkiem czasów, gdy na jednego człowieka jeden głuszczyk przypadał, a niewykluczone, że dwa lub trzy, a skoro niejedno widział, to niejedno wie i, sądząc po osobach przytulających się do pnia, chętnie dzieli się poradą. Nieopodal rozpoczyna się ścieżka przez leśne ostępy –



drewniana kładka prowadzi brzegiem Płesna, by odbić na zachód i obejść niewielki, porośnięty torfowiskiem staw Kacze Oko. Tu rowerem nie przejedziecie, zresztą kładkę i bez waszych zapędów czeka pilna renowacja, więc używacie nóg do spontanicznej przechadzki, co zresztą wskazane dla długodystansowych kolarzy.

Spod Bartusia moglibyście w mgnieniu szprychy podjechać przez Owink do Swornegacia lub jeszcze prędzej nad Strugą Siedmiu Jezior i Skrzyńką do Małych Sworów. Tymczasem ulegacie namowom skrzydlatego anioła stróża i niczym przez piaskownicę przebijacie się pokrytą igliwem drożyną nad parkę jezior o wyjątkowej urodzie – Małe i Wielkie Krzywce – gdzie można znaleźć dużo więcej niż święty spokój: stąpające ostrożnie między nadbrzeżnymi sosnami żurawie, dzięcioła zielonego ścigającego się z orzechówką, tłumy mikroowadów, co urządzają sobie zawody w głośnym buczeniu. Szlak wiedzie tuż przy brzegu, po prawej stronie mając niewielką skarpe ze schodzącym do wody borem, co sprawia wrażenie niezwyklej przytulności, dodatkowo wzmocnione gęstym podszytem pełnym mchów, paproci i borowiczysk. Odgłosy wytłumiają się stopniowo, aż w końcu wydaje wam się, że zakopano was zniecka w lisiej czy borsuczej norze; lub jak gdybyście się schronili w rewirze głuszca, któremu na pewno nad Krzywcami żyło się nie najgorzej, więc szkoda, że za waszym pośrednictwem wrócił tu jedynie w trybie symbolicznym. Woda połyskuje zza drzew jak kryształ, między pniami szmyrgnął niczym duch lelek kozodój, rowery leżą przy drodze i na pewno po paru godzinach znikłyby pod dywanem z igieł.

Ale nie znikną, bo odjeżdżacie na nich w siną dal, odtwarzając sobie w uszach odgłosy szlifującego samca głuszca, który podczas toków nic, tylko by tańcował i robił wygibasy, trochę jak wy stojąc na pedałach, gdy podjeżdżacie znad jezior do głównej trasy PNBT; jest trochę piachów, trochę pod górkę, ale chwila wysiłku popłaca i po paru minutach przecinacie linię lotnego finiszu w Drzewiczu, na wylocie z Parku, o czym powiadamia specjalna

brama. Nie znaczy to jednak, że sam Drzewicz mniej ciekawy, nie daj boże brzydszy niż to, coście mieli przed oczami przez ostatnie godziny. Skądże znowu, zachńcie się, skoro mamy tu spektakularny most nad Brdą, która łączy szerokim przepustem jeziora Dybrzk i Łąckie, mknąc pośród borów ze Swornegacia. Widoki więc efektowne, do tego sporo zamieszania – bo w pobliżu prócz bramy do parku narodowego macie i ośrodki wczasowe, i szosę w stronę Wielkich Chełmów i Brus, żółte oraz czerwone znaki Marszruty, nie mówiąc o starych osadach nad brzegami jezior – Młynkiem z reliktnymi elektrowni wodnej i Płęsnem z pomnikowymi sosnami przy polu biwakowym tuż nad Brdą. Zwornikowość Drzewicza nie podlega więc dyskusji, spotykają się tu ludzie, rowery, ryby i wydry – to na pewno – ale i interesy, a w waszym interesie jest teraz wrócić w stronę Rytla, ale już nie przez Park, lecz wzgórzami nad Brdą.

„Sometimes the very thing you’re looking for, is the one thing you can’t see”, zagłębia się w filozoficzne rozważania Vanessa Williams, a wy czujecie, że ma rację; przynajmniej w odniesieniu do głuszca. Cały dzień wasze myśli krążą wokół niego, ale dojrzeliście tylko jego wizerunek w godle parku narodowego, nic ponadto. Teraz, gdy słońce już lekko ma dość i opada z impetem na widnokrąg, zbiera wam się na podsumowania; i to ganz egal, czy wieziecie się boczną asfaltówką przez lasy i to, co zostawiła po sobie nawałnica, czy przez bór, żółtym szlakiem Marszruty, obok stancji harcerskiej nad jeziorem Dybrzk, podłużnym jak aligator, ale urokliwie zanurzonym w rynnę pod wzgórzami. Tak czy owak dotrzecie do starokaszubskiej Czernicy, gdzie nastrój schyłkowych wakacji tylko się pogłębi wśród drewnianych domków i młyna z początku XX wieku, wyniosłych grabów rosnących nad wąską rzeczulką zasilającą Dybrzk, a może już sąsiadujące z nim Kosobudno. Chwilę spędzacie w lesie, po czym ostry zjazd sprowadza was do Strugi, najbardziej oddalonego przysiółka letniskowej wsi Męcikał.

Parę pociągnąć korbą i już meldujecie się w centrum wsi, tam, gdzie Brda głębokim parowem wcina się w pofałdowaną rzeźbę terenu. Dookoła stoją drewniane kaszubskie chałupy, najstarsze z końca XIX wieku, choć sama wieś ma oczywiście znacznie dawniejszą, sięgającą odległych czasów epoki kamienia, historię, którą chętnie kultywuje, choć dramatycznych chwil w niej nie brakowało, jak podczas II wojny światowej, gdy Niemcy spalili sporą część zabudowań. Jako że Męcikał położony jest strategicznie – w miejscu, gdzie trasa w kierunku północnej części Kaszub od średniowiecza pokonuje bród na Brdzie – już przed kilkoma wiekami karczmy tłoczyły się tu jedna przy drugiej, a sama wieś funkcjonowała jako strażnica. Dziś tu raczej spokojnie, w miejsce handlarzy, kupców i wędrowców, pojawili się letnicy, a w ślad za letnikami – letniskowe domy, zwyczaje i potrzeby. Opuszczacie krainę wczasowości, gdy zaczyna solidniej zmierzchać. Możecie kontynuować jazdę Marszrutą; idzie przez Dużą Klonię do Myłofu piachami nad piachy, pośród których trudno o choćby złudę oazy, mimo że wód dookoła aż nadto, a Brda toczy swe wody równoległe do waszej trasy. Lub też – i to jest wariant dla tych, którzy nad terenowe rajdy przedkładają komfort asfaltu – udać się oddalonym o paręset metrów i mało uczęszczanym asfaltem, wśród bażantów rzucających się wam niczym Rejtan pod koła, co prawda już bez towarzystwa Brdy, której jednak mieliście dziś pod dostatkiem, więc znów wam aż tak nie tęskno. Istotną przewagą opcji numer dwa jest to, że macie okazję zerknąć, co słychać nad skrytym w sosnowym gaju jeziorem Trzemeszno, co nie od dziś przyciąga samotników szukających sensu życia i utraconego głuszca. Zaś po dotarciu do osady Gieldon wystarczy włączyć się w rytm zielonych znaków Kaszubskiej Marszruty i już tylko parę kilometrów do Rytła.

Jedzie się tak wygodnie, jakby w ogóle nie trzeba było pedałowac, świeżo wylany asfalt na drodze przez Okręglík jest jak chodnik ruchomy na lotnisku i nawet tłusty jak krąg serowy księżyc, który



zwiastuje rychłe nadejście mroku, nie jest w stanie wam przeszkodzić w płynnych ruchach; choć zważcie, a to wiedza przydatna, że księżyc nie jest z sera, jak wydawało się wielu, w tym Wallace'owi i Gromitowi; te insynuacje zostały już dawno oddalone, podobnie zresztą jak plotki o kompletnej głuchocie głuszców, podczas gdy trwa ona maksymalnie parę sekund w momencie najwyższej ekscytacji podczas artystycznego programu wykonywanego przez samce podczas godów. Wyposażeni w cenne spostrzeżenia skręćcie na Małe i Duże Wądoły, które stoją sobie w okolicy zacisznej, niegdyś śródleśnej, obecnie odradzającej się z każdym rokiem; odradzanie to ma zresztą natychmiastowe przełożenie na asfalt, wyłożony na potrzeby ciężkich aut wywozających wiatrołomy, a dziś służący mikroskopijnemu ruchowi aut i uciesze rowerzystów.

W Rytlu jesteście po zmroku, nawet miejscowe ziomki cisnęły hulajnogi w kąt i grzecznie oglądają dobranockę. Jeszcze tylko paru zagorzałych kibiców miejscowego klubu piłkarskiego rozprawia o ostatnim meczu trampkarzy czy młodzików. Nad Brdą ciemno choć oko wykol, słyhać tylko miarowe pluski wody opływającej kamienie i pniaki utkwione w nurcie. I głuszca, wyśpiewującego wam na uchem finałowe wersy przeboju Vanessy Williams, „you'd go and save the best for last, you went and saved the best for last”.

8. Etap przyjaźni. Chojnice i okolice

Ostatnie etapy wielkich wyścigów kolarskich nazywane są „etapami przyjaźni”. Liderzy poszczególnych klasyfikacji już się nie ścigają, możliwość wykazania się otrzymują kolarze z dalszych szeregów. Wszyscy jadą powoli, pozdrawiając rozstawionych na trasie wielbicieli, dzieląc się poglądami na pozarowerowe tematy i poklepując się po plecach. Tuż przed metą zespół lidera otwiera szampana i w akrobatycznych pozach z kieliszkami w rękach kolarze przekraczają linię mety wśród powszechnego aplauzu. Lotnych



finiszów też już raczej na trasie się nie wyznacza, bowiem prawdziwą nagrodą ma być ukończenie wyścigu, który przecież i tak nabito premiami jak ćwiekami ramoneskę. Nie brakuje czasu na podziwianie widoków, więc zamiast leżeć na kierownicy, dusząc prędkość, jedzie się wygodnie w siodle niczym na wierzchowcu. Wiadomo, normalnie to lubicie sobie pomknąć po prostej, jeśli asfalt pozwoli, pobaraszkować w terenie, gdy ścieżka zamieni się w przyjemny żlebik, pruć szybciakiem na zjazdach, podjazdy pokonywać, stojąc na pedałach. Ale ostatniego dnia wyścigu wszystkie ambicje leżą odłogiem, ostatniego dnia zaczyna się myśleć o powrocie do świata, w którym nie ma czasu na bez troskie hasanie po wertepach.

Etapy przyjaźni najczęściej wytycza się więc z metą w głównym mieście, żeby godnie pożegnać się z publicznością bez ustanku śledzącą wasze poczynania. A może raczej przywitać publiczność



w geście wędrowca, co opuścił miejskie mury, by odnieść sukces, odkrywając nowy ład czy dokonując cudów męstwa, a teraz wraca bogatszy o wszystkie zapamiętane obrazy, smaki, zapachy i głosy. I nie tyle chodzi o to, że na głównym placu jesteście witani jak zwycięzcy, nawet jeśli przez cały wyścig jako czerwona latarnia zamykaliście tabelę i kręciliście młynki w pogoni za niknącym peletonem, ile o zwykłą frajdę z wejścia w świat, rozruszania mięśni i możliwości pobycia sobie samemu ze sobą, mimo że często w towarzystwie; nie mówiąc o oderwaniu od spraw bieżących, monotonii dnia powszedniego i innych wypowiedzianych w takich momentach jak mantra kwestiach, które każdego dotyczą w nieco innym stopniu, więc nie ma tu się co do nich przywiązywać. Ważne natomiast, żeby uszczknąć coś z tej aury stołeczności, choćby miałyby to być stołeczność w mikroskali, i nie musieć bez przerwy gnać na złamanie karku. Warto znaleźć czas, by rozsiaść się na ławeczce w parku, zjeść spokojnie obiad i przygotować się do zmiany paradygmatu, której bliskość anonsuje wam gwizd lokomotywy nieopodal dworca kolejowego lub warkot silnika zaparkowanego w pobliżu samochodu.

Chojnice pomogą spełnić wszystkie wasze zamierzenia. Są nie tylko stolicą powiatu i gminy, najważniejszym miastem południowych krańców Kaszub, zachodniej części Borów Tucholskich i „Bramą Pomorza”, ważnym ośrodkiem edukacyjnym, przemysłowym i handlowym, dużym węzłem komunikacyjnym o ponadregionalnym znaczeniu, ale także po prostu fajnym, zielonym miastem o ciekawej historii, wartościowych zabytkach, w tym zachowanym od średniowiecza układzie urbanistycznym, no i świetnych ludziach, którym chce się robić coś więcej, niż wymagałaby od nich codzienna rutyna. Uf, brzmi jak wykupiona reklamówka, w której prawdziwość trudno uwierzyć. Najlepiej więc przyjechać tu samemu i przekonać się, czy jest tu jakiś duch miasta, coś specjalnego, co wyróżniałoby Chojnice z grona innych fajnych, zielonych miast o ciekawej historii, których przecież mamy w Polsce więcej niż kilka. A jeśliście

w cały tydzień zjeżdżili powiat sołectwo po sołectwie, okrążając miasto ze wszystkich niemal stron, to realia etapu przyjaźni powinny was szczególnie skusić do odwiedzenia stolicy i to w trybie rekreacyjnym bardziej niż rajdowym. Łapcie więc za kierownicę i suńcie znad Brdy niespiesznie na zachód, „go west”, bowiem „life is peaceful there” i to w dodatku „in the open air”, jak wiecie dobrze z przeboju Pet Shop Boys.

Z Rytla do Chojnic drogę macie prostą – krajówka wwiezie was w godzinkę, nie więcej. A raczej wwiozłaby, bo wcale nie macie zamiaru jechać drogą najprostszą z możliwych, swoboda jazdy nie ma polegać na pedałowaniu w akompaniamencie trąbiących tirów. Trąbiące żurawie natomiast powitacie z otwartymi ramionami, więc kierujcie się piachem w stronę Suszka i Śpiewnika, które okazują się urokliwymi osadami pośród gęstych borów z niebagatelnym walorem w postaci duetu jezior rynnowych zasilanych przez Suską Strugę. Niewielkie jezioro Suszek można raz-dwa obejść ścieżką dydaktyczną, natomiast znacznie okazałszy, ciągnący się południkowo niczym Półwysep Apeniński, Śpiewnik wymaga już dłuższych objazdów. Przemykacie tuż nad jego zalesionym brzegiem przez Białe Błota aż do osady Nicponie, delektując się ogólną błogością, której tu, z dala od turystycznych hitów i rowerowej magistrali, nic nie ma prawa zakłócić. Za Objezierzem dołączacie do asfaltowej drogi, która wiedzie granicą powiatu i województwa, w Gockowicach przepuszczacie panią z gęsiami wracającymi karnie ze spaceru, a do szosy spinającej Chojnicę z Tucholą docieracie w Silnie.

Tam zresztą możecie zabawić nieco dłużej, choćby oglądając drewnianą chatę będącą pozostałością po kosznajdrach – lokalnej ludności pochodzenia niemieckiego, prawdopodobnie z okolic Osnabrück, sprowadzonej w XV wieku na tereny południowych skrawków ziemi chojnickiej i zachodniej Krajny przez Krzyżaków. Kosznajderia, jak nazywano ten zwarty obszar, wyróżniała się odrębnym dialektem, przypominającym nieco język

niderlandzki, własnymi zwyczajami i strojami ludowymi. Od-
rębność tę przez lata pielęgnowano, choć dziś już niewiele po-
zostało po niej śladów poza kilkoma typowymi nazwiskami, na-
dal obecnymi wśród lokalnej ludności. Stolicą Kosznejderii było
Ostrowite, kolejne miejsce w powiecie o tej nazwie – po letnisko-
wej wsi pod Czerskiem i największym jeziorze Parku Narodowe-
go „Bory Tucholskie”. Podążacie tam z Silna bez stresu, korzysta-
jąc ze ścieżki rowerowej, jednej z wielu nitek doprowadzających
do Chojnic z odległych rejonów południa powiatu. Wieś o bar-
dzo bogatej historii, będąca centrum wczesnośredniowieczne-
go grodziska, skupiała się niegdyś na wysepce pośrodku dużego
jeziora, o czym możecie przeczytać u badającego te tereny Oska-
ra Kolberga. Dziś po rozległym akwenu ani widu, ani słyhu,
ostał się w zredukowanej postaci jako niewielkie jeziorko leżące kawa-
łek za centrum miejscowości. Krążąc po Ostrowitem, przejeżdżacie



sobie leciutko obok imponującego kościoła pod wezwaniem świętego Jakuba Apostoła, wybudowanego przez Krzyżaków na początku XV wieku. Choć w kolejnych stuleciach przechodził liczne interwencje, zdołał zachować gotycką bryłę i surowy urok. We wsi znajdziecie też kilka starych chałup i schludne neogotyckie budowle z początku XX wieku. W końcu nasyceni opowieściami o Kosznajderii wyruszacie w stronę Chojnic, albo wybierając drogę przez Lichnowy, albo wracając do Silna i zmierzając na północny zachód szeroką ścieżką rowerową poprowadzoną tuż przy szosie.

Biegąca łagodnymi wzgórzami trasa przeprowadza was przez Pawłowo, a stamtąd, jeśli nie chce wam się jeszcze pokazywać w mieście, możecie odbić w prawo w stronę Krojant, gdzie w starym zespole dworskim znajduje się słynna prywatna klinika rehabilitacyjna. Potem odwiedźcie pięknie usadowione na południowych krańcach kompleksu parku narodowego Powałki i Jarcewo. Jadąc pagórkowatymi alejami wśród łąk, osiągniecie Czartołomie, chlubiące się eleganckim dworem wraz z kompleksem zabudowań podworskich o osiemnastowiecznym rodowodzie i parkiem pełnym pomnikowych drzew. Macie zatem okazję wjechać do Chojnic dwojako: albo prostą drogą od południa, albo okrężną od północy, wszystko zależy od waszego humoru i tego, ile paliwa zostało w nogach. Dzięki rozwiniętej sieci ścieżek rowerowych, w części należących do systemu Kaszubskiej Marszruty, jazda po rogatkach stolicy sprzyja waszym zamierzeniom. Zero nerwów, zero ścigania, maksimum przyjemności z kontemplowania okolicznych panoram. Docieracie do miasta z piosenkami na ustach, bo to „moje miasto, a w nim” mnóstwo intrygujących historii i miejsc, no i „tak wygląda moje miasto nocą”, choć do nocy po prawdzie jeszcze daleka droga. Ważne, że czujecie powiew przyjaznego klimatu, który mówi wam, że nie ma co się napinać i że można być dumnym z tego, co dookoła. I właśnie wtedy, gdy zaprzątacie sobie głowę tymi rozważaniami, chojniczanie witają was na rynku, towarzysząc waszej rundzie honorowej, choć nie o honor tu się toczy gra, a o aktywne



spędzanie czasu w miłej atmosferze, co zdaje się nie mniej ważne od heroicznych czynów dokonywanych na jednoślądzie.

Z rowerowej perspektywy Chojnice jawią się kompaktowo, choć może nie aż tak jak Paryż z ballady Andrzeja Zauchy: „Knajpa, kościół – widok z mostu”. Stare centrum miasta skupione wokół rynku z ratuszem i sąsiednich uliczek budzi przyjemne skojarzenia – gdyby było pluszowym niedźwiadkiem albo królikiem w minizoo, wszyscy chcieliby się do niego przytulić. Pierwszą budowlą, która zwraca tu na siebie uwagę, jest chojnicka fara, czyli bazylika pod wezwaniem Ścięcia św. Jana Chrzciciela, którą zaczęto budować u progu XIV wieku. Kościół robi duże wrażenie, kiwacie głowami z przekonaniem, spoglądając na masywną wieżę z czerwonej cegły oraz na stojącą po wschodniej stronie tak zwaną Starą Plebanię, najstarszy chojnicki budynek mieszkalny, także z XIV wieku. Ulicą Tadeusza Kościuszki, pełniącą funkcję deptaku, dotaczacie się na płytę chojnickiego Starego Rynku, na którym mimo wojennych strat, kiedy zniszczeniu uległa ponad jedna trzecia zabudowań starówki, zachowało się kilka stuletnich kamieniczek, a także niezwykle interesujący neogotycki ratusz z początku XX wieku z modernistycznymi dekoracjami. Mikroklimat wokół rynku sprzyja zagłębieniu w kolejne zakamarki, przemykaniu wąskimi uliczkami i odkrywaniu drobnych niespodzianek takich jak mural wykonany przez chłopaków z Basgrow Studio przy okazji corocznego festiwalu literackiego „Wszystko jest poezja”. W trakcie festiwalu główne role odgrywają uczniowie II LO w Chojnicach, na moment zamieniając miasto w tętniący życiem kreatywny hub.

Kilka obrotów korbą na północ od rynku znajdziecie inne ważne budynki sakralne, w tym triadę barokowych budowli z XVIII wieku: pojezuicki kościół pod wezwaniem Zwiastowania NMP o pięknej pastelowej fasadzie, budynek Kolegium Jezuitskiego, dziś liceum, oraz dawny kościół i klasztor augustianów. Natomiast jadąc na zachód ulicą 31 stycznia, dotrzecie do

czternastowiecznej Bramy Człuchowskiej, zachowanego do dziś fragmentu obwarowań miejskich. W ich skład wchodziły dwie inne bramy, a także dwadzieścia dwie baszty – kilka z nich można jeszcze podziwiać, jedna stoi na tyłach fary, druga po południowej stronie centrum, trzecia niedaleko bramy i fosy, w systemie murów miejskich, od zachodu nadal okalających centrum Chojnic. Wymykacie się przez bramę, która mieści dziś Muzeum Historyczno-Etnograficzne i płynnie, choć łańcuch skrzypi już donośnie, przeskakujecie do Parku Tysiąclecia, rozległego terenu wypoczynkowego z systemem oczek wodnych, w których kwitnie ptasie i rybne życie, całym mnóstwem drewnianych mostków i kładek, miejsc do rekreacji i odpoczynku, pomników i murali.

Raz wjechawszy do parku, moglibyście zostać tu na dłużej i kręcić piruety wśród bujnej roślinności. Choć przecież dobrze wiecie, że za chwilę wsiądziecie na rower i wrócicie na ulice, żeby wczuć się w rytm miasta, bowiem, jak przewidziała to Irena Jarocka, „gdzieś w zakamarki wielkich miast ciągnie nas”, choć opiewała głównie kawiarenki, których w Chojnicach nie brak, lecz nie brak również perełek architektury, takich jak eklektyczny pałacyk z końca XIX wieku, w którym mieści się Starostwo Powiatowe, jak zabudowania starych spichlerzy miejskich i miłe kamienice na Nowym Mieście, wokół których krążyć jak wolne elektrony – etap przyjaźni już za wami i teraz trzeba rozjeździć mięśnie. Może nawet uda wam się dotrzeć do Doliny Śmierci, położonego w Lasku Miejskim na północnych krańcach Chojnic miejsca pamięci, gdzie tuż po rozpoczęciu II wojny światowej Niemcy przeprowadzili masowe egzekucje. W chwili zadumy przypomnicie sobie długą historię miasta, znanego już w XII wieku, lokowanego u progu wieku XIII, kilkakrotnie przechodzącego z rąk niemieckich do polskich, raz rozwijającego się szybko, raz tylko wspominającego okresy prosperity z łezką w oku, a raczej kroplą wody w fontannie na Starym Rynku.



KASZUBSKA MARSZRUTA



Wysokość

Wysokość

Wysokość

KAYMAQ

nchi

W końcu, przejeżdżając wzdłuż rzędów zadbanych kamienic i willi, wdrapiecie się do dzielnicy nieopodal dworca kolejowego, która góruje nad centrum.

Koniec etapu przyjaźni dla jednych z was będzie czasem pożegnań – wstawicie rowery do pociągu jak do prywatnej limuzyny, która zabierze was w bliższą lub dalszą trasę; albo do limuzyny sensu stricto, w końcu technologia poszła na tyle do przodu, że auta przewożące rowery nie są czymś rzadszym od czterolistnej koniczyny. Dla innych to koniec zaledwie pierwszej części znacznie dłuższej trasy. Zbierzecie siły i ruszycie w dalszą drogę, w stronę Krajny, Kociewia, a może nad Brdą w kierunku Bydgoszczy, unosząc wspomnienia borowiacko-kaszubskie i już tęskniąc za powrotem w te strony, bo jeździć można wszędzie, nikt nikomu nie broni, ale czujecie, że trudno będzie o większą frajdę niż przez ostatni tydzień. Reszta z was zrobi kófeczko lub dwa i rozjedzie się do domów, mając wszystkie skarby powiatu chojnickiego dostępne jak na talerzu. Choć lotnych finiszów na dzisiejszej trasie nie przewidziano, i tak zróbcie sobie jakiś upominek – zażyliście jak mało kto. Ale nie zapominajcie o rowerze, jemu też coś sprawcie, dosmarujcie z troską łańcuch, delikatnie zmyjcie ślady piaszczystej przeszłości, w końcu podkrećcie to i owo, żeby kolejnego dnia jak gdyby nigdy nic wyruszyć znów, „patrząc, jak wszystko zostaje w tyle” – jak w tekście piosenki, ale nie z okien teelki czy osobówki, tylko znad kierownicy błękitnego gravela.

Bibliografia

Podczas pisania książki korzystałem z wielu źródeł. Dzięki uprzejmości Joanny Jaśtak i uczennic II Liceum Ogólnokształcącego im. gen. Władysława Andersa w Chojnicach – Pauliny Cherek, Joanny Garus, Aleksandry Daszkowskiej, Bogny Knuth – miałem dostęp do wyboru z wielu ważnych opracowań dotyczących Chojnic i okolic, w tym do obszernego, czterotomowego dzieła *Dzieje ziemi i powiatu chojnickiego* pod redakcją Jacka Knopka (I tom Chojnice 2013). Nie udało mi się skorzystać ze wszystkich zgromadzonych informacji, ale co się dzięki lekturom dowiedziałem, to moje! Dużo dały mi również publikacje poświęcone konkretnym zagadnieniom związanym z miastem i powiatem, w tym choćby *Dzieje Chojnic* pod redakcją Kazimierza Ostrowskiego (Chojnice 2010) czy *Tajemnice chojnickich ulic. Od Myśluboja do Miłosza* autorstwa Kazimierza Ostrowskiego i Zbigniewa Buławy (Chojnice 2014). Równie chętnie zaglądałem do licznych przewodników i map turystycznych, w tym tych poświęconych turystyce rowerowej, jak choćby publikacja *Szlakami Marszruty Kaszubskiej wokół jezior: Charzykowskiego i Karsińskiego* autorstwa Bożeny Stępień (Chojnice 2015) czy mapo-przewodnik *Kaszubska Marszruta. Trasy rowerowe / Powiat chojnicki. Kaszubska Marszruta* pod redakcją Anny Dębskiej i z tekstami Dariusza Wojciechowskiego (Wrocław 2022), a także do materiałów popularnonaukowych i naukowych udostępnionych na stronach internetowych, między innymi Parku Narodowego „Bory Tucholskie”: pnbt.com.pl, Tucholskiego Parku Krajobrazowego: parki.kujawsko-pomorskie.pl/tpk czy Zaborskiego Parku Krajobrazowego: zaborskipark.pl.

Jednocześnie chciałbym zaznaczyć, że książka ma cechy gatunkowe eseju i łączy w sobie elementy fikcjonalne i niefikcjonalne, w związku z tym wszelkie odstępstwa od faktów są uzasadnione konwencją publikacji (w tym miejscu muszę zmartwić wszystkich czytelników, którzy liczyli na bliskie spotkanie z plezjozaurem; niestety abonent jest czasowo niedostępny).

Podziękowania

Nie byłoby tej przygody, gdyby nie Marcin Szopiński, na którego zaproszenie po raz pierwszy przyjechałem dobrych kilka lat temu do Chojnic i który wpadł na pomysł, żeby połączyć moją pasję rowerową, literackie doświadczenie i zamiłowanie do krajoznawstwa w pomysle na tę książkę. Nie wiem, czy tom esejów rowerowo-chojnickich, który trzymacie w rękach, zaspokaja chociaż w części jego ambicje, ale mam nadzieję, że to dopiero początek różnych przedsięwzięć mających na celu promocję Borów i Zaborów, więc to, co nie zmieściło się tutaj, znajdzie kiedyś swoje miejsce w kolejnej publikacji. A my będziemy mieli okazję pojeździć jeszcze częściej i dalej. Marcinowi i jego żonie Monice (a także Viktorii i Olkowi) dziękuję także za wspa- niałą gościnę nad Brdą, świetne pomysły i ich realizację, uczynność i uśmiech – mieć takich Przyjaciół jak Wy to największy skarb.

Osobne słowa podziękowań kieruję do Marka Szczepańskiego, Starosty Powiatu Chojnickiego, któremu zawdzięczam niezawodną opiekę nade mną i nad projektem, a także pasjonujące opowieści o Parku Narodowym „Bory Tucholskie”, jego przyrodzie, mieszkańcach i historii. Dzięki za wspólne jazdy i rozmowy. Sebastianowi Matthesowi, Dyrektorowi Wydziału Funduszy i Rozwoju oraz Turystyki Starostwa Powiatowego w Chojnicach należą się natomiast ukłony za niezwykle sprawną i życzliwą współpracę przy procedowaniu projektu, którego rezultatem jest niniejsza książka.

Wszystkim, którzy przyczynili się do tego, że spędziłem w powiecie chojnickim sporo czasu i czułem się jak w domu, przesyłam całe mnóstwo ciepłych myśli. Do zobaczenia w trasie! Na koniec dziękuję Malcowi, bez którego książka nigdy by nie powstała.



Spis treści

o. Prolog	5
1. Piachy po pachy. Chociński Młyn – Zielona Chocina – Konarzyny – Chociński Młyn	11
2. Wolność Kocham i Rozumiem. Pętla wokół Jeziora Charzykowskiego	25
3. Pod prąd (I). Doliną Zbrzycy ze Swornegaci do Widna	39
4. Pod prąd (II). Doliną Zbrzycy z Widna nad Jezioro Somińskie	52
5. Wakacje z duchami. Leśno – Brusy – Kosobudy – Czarniż – Odry	66
6. Na południe. Odry – Czersk – Fojutowo – Wielki Kanał Brdy – Rytel	82
7. Tropem głuszca. Rytel – Myłof – Kłosnowo – Park Narodowy „Bory Tucholskie” – Drzewicz – Czernica – Męcikał – Rytel	97
8. Etap przyjaźni. Chojnice i okolice	113
Bibliografia	125
Podziękowania	127

Jakub Kornhauser

Lotne finisze. Skarby powiatu chojnickiego z rowerowej perspektywy

Redakcja i korekta: Malwina Mus-Frosik

Okładka, skład i projekt typograficzny: QinkLab

Fotografie: Jakub Kornhauser

Złożono pismem *Bona Nova*

Wydrukowano na papierze Amber Graphic 80 g/m²

Oddano do druku 17 października 2023 roku

Wydanie I

Copyright © by Jakub Kornhauser

ISBN 978-83-950908-4-4

Druk i oprawa: Totem, Jacewska 89, 88-100 Inowrocław

Nakład 500 egzemplarzy

Mikrooficyna Ówże w serii *Jedźże*

Kraków, 2023

Publikacja bezpłatna przygotowana w ramach operacji

realizowanej w ramach Planu Działania Krajowej

Sieci Obszarów Wiejskich na lata 2014-2020.

Odwiedź portal ksow.pl i zostań partnerem Krajowej

Sieci Obszarów Wiejskich.

Na rogatkach Małych Sworów macie okazję przewieźć się przez ładny most zwodzony na Brdzie, która jak gdyby nigdy nic przepływa sobie z jeziora do jeziora, zabierając z nurtem kajakarzy i żeglarzy, więc dla ich wygody most czasem się podnosi – i dobrze, bo co miałby tak leżeć tylko plackiem jak wyżej wspomniany Fum. U zbiegu jezior wyhaczyście też pole biwakowe, usytuowane w malowniczym zakątku sosnowego nabrzeża, zresztą malowniczość tę mają w okolicy w nadmiarze wręcz nieprzyzwoitym, może wręcz wypadałoby się podzielić z innymi regionami naszego kraju, gdzie malowniczości braki i smutki z tego powodu wszechobecne.

